

Ryszard Matuszewski

Moje spotkania z Czesławem Miłoszem

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 36, 19-53

2001

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ryszard Matuszewski

MOJE SPOTKANIA Z CZESŁAWEM MIŁOSZEM

Najistotniejsze spotkania z pisarzem to niewątpliwie obcowanie z jego dziełem. Twórczość poetycka Czesława Miłosza była przedmiotem mego zainteresowania, często zachwyty i – niemal zawsze – podziwu już od czasów mojej wczesnej młodości. Czy potrafiłem dać temu należyty wyraz w mojej działalności krytycznej? Zgrzeszyłbym zarozumiałstwem, twierdząc, że mi się to udało. Na usprawiedliwienie mam jedno: okoliczności przez wiele lat, i to lat, na które przypadł czas mojej największej zawodowej aktywności, nie sprzyjały uzewnętrznieniu refleksji na temat twórczości Miłosza. Pisałem o nim jako początkujący krytyk zaraz po wojnie, w drugiej połowie lat czterdziestych. Po zerwaniu poety z Peerelem udało mi się wykorzystać krótki moment po październiku 1956 i ogłosić w „Nowej Kulturze” recenzję wydanego wówczas w paryskim Instytucie Literackim *Traktatu poetyckiego*. Kiedy Nagroda Nobla otworzyła poczci Miłosza dostęp do kraju, mogłem wreszcie zapewnić mu należne miejsce w moim zarysie dziejów literatury polskiej 1939–1991, a także wnieść swój wkład do zbioru studiów i szkiców pt. *Poznawanie Miłosza*, wydanych w serii prac Instytutu Badań Literackich PAN, pod redakcją Jerzego Kwiatkowskiego. Zamieściłem w nim obszernie studium o poecie pt. *Czesława Miłosza dążenie do formy pojemnej*¹. W latach 90. recenzowałem kilkakrotnie pojedyncze zbiory esejów i wierszy Miłosza, włączałem się też parę razy do polemik, toczących się wokół jego książek i wypowiedzi².

Dziś każda próba ustosunkowania się do ogromnego dorobku pisarskiego Miłosza wymaga nie tylko kwalifikacji wytrawnego badacza, ale i poświęcenia temu zadaniu wielu lat. Lecz z faktu, że mnie, niemal rówieśnikowi poety, lat tych by już zapewne na podjęcie takiego zadania nie starczyło, nie wynika, bym nie odczuwał wewnętrznej potrzeby dania świadectwa czyli – inaczej mówiąc – spisania relacji jednego z tych, którym dane było z Miłoszem się zetknąć, uczestniczyć w kilku epizodach jego życia, a nawet zaskarbić sobie – niezależnie od krytycznych

uwag na temat niektórych moich wypowiedzi – także jego przyjazne uczucia, czemu dał publiczny wyraz

Nadając tedy niniejszemu tekstowi tytuł *Moje spotkania z Czesławem Miłoszem*, chciałbym na wstępie sprecyzować jego temat. Będą to w zasadzie relacje wspomnieniowe o osobistych kontaktach z poetą, choć w ich tle znajdzie się oczywiście wyraz mego – zarówno emocjonalnego jak i poddanego krytycznej refleksji – stosunku do pewnych przynajmniej elementów jego twórczości. Będą to także niekiedy refleksje dotyczące kręgu osób i spraw, stanowiących otoczkę naszych spotkań.

Bodźcem do skreślenia tych uwag jest bez wątpienia fakt opublikowania przez Miłosza tomu pt. *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950*³. Znalazła się w nim m.in. wymiana listów pomiędzy nami z lat 1948–1949 oraz blok korespondencji Miłosza z małżeństwem Krońskich. Co więcej, Miłosz konstatuje w komentarzu do naszej korespondencji, że zwrócił na mnie uwagę głównie dzięki przyjaźni, jaką Krońscy mnie darzyli, i licznym naszym wspólnym spotkaniom w Warszawie lat 1943–1944, a więc w końcowym okresie hitlerowskiej okupacji. Wspomina co prawda, że poznał mnie „chyba przed wojną”, ale zarazem stwierdza, że nie udzielił mi wtedy wiele uwagi, jako że należałem „do młodszego pokolenia, a wtedy kilka lat było znaczną różnicą”.

LATA TRZYDZIESTE: POETA TRZECH ZIM

Otóż nie sądzę, by niewielka różnica między żagarystami a grupką moich rówieśników, o której Miłosz przy okazji wspomina, miała tu decydujące znaczenie. To tylko grzeczny rewerans ze strony poety. Gdyby był wśród nas ktoś z talentem na miarę Różewicza czy Herberta, Miłosz zainteresowałby się i wówczas kimś takim na pewno. Jest zrozumiałe, że ja miałem inną optykę. Start żagarystów budził znacznie więcej uwagi, był czymś o wiele oryginalniejszym, niż sztubackie pierwociny moje i kilku moich warszawskich przyjaciół z „Kuzni Młodych” czy Klubu Artystycznego „S”, bo nic wtedy jeszcze nie zapowiadało roli, jaką kiedyś odegra np. ks. Jan Twardowski w poezji, Kazimierz Brandys w prozie czy Jan Kott w krytyce.

Można by co prawda zauważyć, że wydany właśnie w roku powstania Klubu „S” poetycki debiut książkowy Miłosza, *Poemat o czasie zastygłym* (1933) też został przez autora szybko skazany na zapomnienie. W powojennym *Ocaleniu* (1945), w dziale Iuvenilia, można jeszcze odnaleźć dwa wiersze z tego tomu, należącego dziś niewątpliwie do bibliotecznych białych kruków. W późniejszych

wyborach poezji Miłosza nawet wiersze z o trzy lata późniejszych *Trzech zim* (1936), ukazujących jakże już odmieniony wizerunek młodego poety, potraktowane zostały nader wybiórczo. Niejednego z utworów, które sprawiły, że właśnie po wydaniu *Trzech zim* Miłosz stał się dla mnie poetyckim idolem, w nowszych wyborach nie odnajduję. A przecież to właśnie one sprawiły, że – kiedy latem 1936 roku wracałem z wakacji spędzonych w powiecie święciańskim – zatrzymałem się w Wilnie jedynie po to, by autorowi *Trzech zim* złożyć wizytę w wileńskim radiu, gdzie wówczas pracował. Miałem ochotę porozmawiać z nim o kilku jego utworach, które intrygowały mnie swoją urodą, ale ich sens nie poddawał się logicznej analizie. Mam tu na myśli takie wizyjne poematy jak *Ptaki*, *Bramy arsenału*, *Hymn*, *Powolna rzeka*, *Posąg małżonków*, *Roki*. Moje dotychczasowe fascynacje poetyckie – myślę o poezji, którą moja generacja uważała za „współczesną” – przeszły bowiem do chwili zetknięcia się z twórczością żagarystów przez dwie fazy. Pierwszą – jeszcze szkolnych czasów sięgające zauroczenie poezją „Skamandra”, drugą – wtajemniczenie w poetyckie łamigłówki Peipera i Przybosia.

Ale apostołowie krakowskiej awangardy, których wiersze nawet przenikliwy Karol Irzykowski piętnował wówczas jako „niezrozumiałstwo”, dowodzili odwiedzając nas w Klubie „S”, w zabytkowej kamienicy Baryczków na warszawskim Starym Rynku, że przy odrobinie dobrej woli i dzięki umiejętnej analizie, opartej o znajomość reguł ich poetyki, utwory te mogą i powinny stać się całkowicie czytelne.

„A przecież mówiłem tak jasno, że z każdej gruszki mógłby buchać ogień!” – wołał Peiper, „burmistrz marzeń niezamieszkałych” w pełnych wigoru strofach z wiersza *Że*. Czyż jeśli w innym jego liryku pt. *Noga* pojawia się zwrot „hymn z jedwabiu ponad okrucieństwem z cukru”, to nie jest oczywiste, że chodzi o damską pończochę i bucik na ostrym, wysokim obcasie?

Młody Miłosz nie chciał jednak wdać się ze mną w rozmowę na temat swoich, pięknych, lecz niejasnych *Bram arsenału*, kiedy go o ów poemat zagadnąłem. Spojrzał na mnie nieco – jak mi się zdawało – wyniośle i z odrobiną ironii. Owszem, był grzeczny, ale zachowywał dystans. – Co chciałem w tym wierszu wyrazić? – zdawał się spoglądać na mnie z lekką kpina – Jedynie to, co napisałem, nic więcej...

Jakaż wymowna różnica, kiedy się ową niechęć do rozmowy o własnym utworze porównało z postawą Peipera czy Przybosia, gotowych zawsze godzinami o swoich wierszach rozprawić, wyjaśniać, tłumaczyć, a jeżeli sztydzić – to tylko z rzekomego prostactwa Skamandrytów, z których – jak nas zapewniał głęboko przekonany o swych racjach Przyboś – „może dwa, może trzy wiersze pozostaną...”

Nie chodziło więc o żadne pokoleniowe różnice. Peiper i Przyboś byli znacznie od nas starsi, ale bardzo lubili do nas przychodzić, wykladać nam swoje teorie i

przekonywać nas o walorach oraz przyszłościowych perspektywach swoich utworów. Dystans lat starali się też niekiedy przełamać swoją bezpośredniością Wierzyński i Tuwim, nie mówiąc o Władku Broniewskim, z którym do bruderszaftu dochodziło już przy pierwszej wódce.

To właśnie prawdopodobnie dlatego, że był prawie rówieśnikiem, a poza tym musiał mieć zapewne poczucie wagi tego, czego chce w poezji dokonać, Miłosz zaznaczał swój dystans. A jednak – co tu gadać – budził mój młodzieńczy zachwyty, i to większy niż inni żagaryści, choć i tym innym zdarzały się wtedy wiersze, które głęboko zapadły mi w pamięć. Na przykład *Żoliborz* Jerzego Zagórskiego z jego tomu *Wyprawy* (1937), zwłaszcza kiedy w czasie wojny zamieszkałem w tej właśnie dzielnicy Warszawy, ujmował mnie darem łączenia lotnej wyobraźni z konkretną obserwacją.

Podobne walory, w jeszcze większym stężeniu, urzekały mnie w niektórych wierszach z Miłoszowych *Trzech zim*. Znamienne jednak, że zafascynowało mnie przede wszystkim kilka liryków, które poeta z późniejszych swoich wyborów usunął. Nie myślę tu nawet o programowym poniekąd wierszu *O książce*, czymś w rodzaju manifestu młodego „katastrofisty”, utworze bardzo sugestywnie oddającym nastroje lat, które poprzedzały zbliżający się wojenny kataklizm. Najlubiejszym moim utworem z *Trzech zim* była *Kołysanka*:

Nad filarami, z których smoła ścicka,
w prowincji tej, gdzie salwa codzien blyska,
pod śpiew saperów o losie człowieka
kołysze płacz dziecinnie kołyska

Kołysze, lula nowego bohatera
w zapachu ognia i spalonych zbóż.
Płuszcza pontony, tryska ptak zbudzony.
Roz-kwi-ta-ly pęki białych róż.

Nie śpiewajcie, chłopcy, pieśni tej –
porucznik mówi – bo za nadto smutna
i tak już w wodzie mokniemy po pas.
Nie bójcie się, tam w górze nie szrapnele –
po prostu leci ogień sennych gwiazd. [...]

Miałem wrażenie, że nikt – zacytowałem tylko trzy pierwsze strofy – nie oddał tak klimatu ówczesnej, polskiej, kresowej prowincji, jak Miłosz w tym wierszu. Może dlatego, że po odbytej służbie wojskowej w podchorążówce posłano mnie na ćwiczenia – kolejno – do garnizonów w Grodnie i Mołodecznie? Lubilem też bardzo wiersz *O młodszym bracie*, dedykowany Jarosławowi Iwaszkiewiczowi.

Lubiłem krótkie liryki: *Obłoki, Elegia, Wieczorem wiatr...*, liryk o incipicie *Ty silna noc*. Nie zawsze gustowałem w maskach nakładanych przez młodego Miłosza w wyżej wymienionych, dłuższych poematach, świadomic jakby zaciemnionych, choć też często urzekających urodą poszczególnych strof i obrazów. Utwierdzał mnie w przekonaniu o wysokich walorach tych utworów mój przyjaciel i ówczesny – w jakimś stopniu – autorytet w sprawach poezji, znakomicie zapowiadający się krytyk Ludwik Fryde.

Fryde bardzo zdecydowanie opowiadał się wówczas za tą poetycką formacją, którą zaczęto nazywać „drugą awangardą” – w przeciwstawieniu do pierwszej, krakowskiej. Wywodziła się od Józefa Czechowicza, którego poezja właśnie wtedy, w latach trzydziestych, ujawniła całą swoją świeżość. Trudno dociekać, jakie perspektywy miałby ów poeta przed sobą, gdyby nie zginął w pierwszych dniach wojny. I Czechowicz, i żagaryści, i Fryde jako ich rzecznik w krytyce, wyraźnie przeciwstawiali się poetyce „Skamandra”. Młody Miłosz może najmniej konsekwentnie, skoro we wznowionym w 1935 roku miesięczniku „Skamander” wydrukował kilka wierszy, mających wejść do *Trzech zim*.

Moje gusty – w zestawieniu z większością mych rówieśników – były stosunkowo najbardziej proskamandryckie, podobnie jak Adolfa Sowińskiego czy Pawła Hertza. Szczepionka doktryn Peipera i Przybosia raczej się u mnie nie przyjęła, choć – podobnie jak moi przyjaciele z klubu „S” – miałem do tych, jak ich nazywałem, „apostołów awangardy” wiele osobistej sympatii.

Ze stosunkiem młodych antagonistów „Skamandra” do owego poetyckiego Olimpu tamtych czasów było zresztą trochę tak, jak zauważył kiedyś Marek Zaleski w swojej książce o „drugiej awangardzie”: młodzi zawzięcie się przeciw potom tej grupy, a zwłaszcza polityce redakcyjnej „Skamandra” i „Wiadomości Literackich” buntowali, ale druk w tych pismach, stawiających wysoko poprzeczkę wymagań, uważali zazwyczaj za wyróżnienie i swoistą nobilitację. Poza tym w buncie młodych poetów owej epoki przeciw starszym nie miała rolę odgrywał sprzeciw ambitnej prowincji, nie dopuszczanej na „warszawskie salony”, okupowane właśnie przez Skamandrytów. Kiedy w 1934 roku kilkunastu poetów z Krakowa, Wilna i Lublina zorganizowało w stolicy wieczór nazwany „najazdem awangardy na Warszawę”, narzucała się analogia z buntem wileńskich romantyków sprzed wieku przeciw warszawskim pseudoklasykom. Była jednak myląca, bo awangarda, zwłaszcza krakowska, miała charakter zdecydowanie antyromantyczny, a tendencje klasycyzujące u Skamandrytów były raczej epizodyczne, a czasem zgoła wątpliwe.

Miłosza, który też należał do tej zbuntowanej prowincji, a niebawem zaczął programowo nawiązywać do tradycji klasycznych, miałem jednak wkrótce spotkać w Warszawie: stała się dla niego azyłem, kiedy go wyrzucano z wileńskiego

radia za rzekomy radykalizm, czy może raczej niechęć do prostackich, ksenofoobicznych posunięć i odruchów ówczesnych sanacyjnych administratorów na kresowych, narodowościowo mieszanym obszarach. W Warszawie jako pracownik radia zyskał poparcie i uznanie. Nie zyskał go natomiast w ówczesnych, oficjalnych areopagach literackich. Byłem zdziwiony i zgorzsony, że Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury przyznawano parokrotnie poctom znacznie skromniejszej – moim zdaniem – miary, niż autor *Trzech zim*. Dostali ją Józef Łobodowski i Światopełk Karpiński. Poczja Miłosza była dla jurorów z Akademii zbyt ciemna i zawila.

PIERWSZE LATA OKUPACJI: MIŁOSZ I ANDRZEJEWSKI

„Niezbyt wyraźnie rysują się moje spotkania z Matuszewskim na Żoliborzu w Warszawie okupacyjnej” – notuje Miłosz w komentarzu do naszej późniejszej korespondencji. „Pamiętam jego przygody żołnierza podczas kampanii wrześniowej. Brał udział w obronie Modlina...”

Dlaczego właśnie ten mój udział w kampanii wrześniowej utkwiał w pamięci poety? Czy może dałem mu do przeczytania mój poemat *Wrzesień 1939*, znamienne świadectwo tego, jak oddziaływała wtedy na mnie właśnie jego inspiracja poetycka?

Bo moja pamięć rejestruje następującą kolejność spotkań z Miłoszem po przedarciu się z Wilna przez zieloną granicę do Warszawy, w 1940 roku. Po pierwsze – widuję początkowo Czesława zawsze razem z Jerzym Andrzejewskim. Moja wcześniejsza znajomość z autorem *Ładu serca* sprawiła, że byłem bezpośrednim świadkiem ich wspólnej pracy przy odbijaniu na powielaczu zbiorku wierszy Miłosza. Był to pierwszy, konspiracyjnie wydany tom poczji w okupowanej Polsce. Autor podpisał go pseudonimem Jan Syruc. Powielanie odbywało się w jakimś mieszkaniu na Oboźnej. Odbito tego raptem 46 egzemplarzy – jak po latach odnotują w *Słowniku pisarzy*. Ale ja byłem szczęśliwym posiadaczem jednego z nich! Tomik zawierał m.in. dłuższy utwór pt. *Wrześniowy poemat*, i właśnie jego lektura skłoniła mnie do próby zamknięcia w wierszowaną formę własnych przeżyć z kampanii 1939 roku, zapamiętanych obrazów żołnierskiej wędrówki i scen z oblężonego Modlina⁴. W powojennym tomie *Ocalenie* Miłosz zachował z *Wrześniowego poematu* tylko fragmenty: dłuższemu nadał tytuł *W malignie 1939*, zaznaczając tym tytułem wyraźnie swój dystans do owych, zapewne pośpiesznie kreślonych i emocjonalnym podejściem naznaczonych strof. Drugi fragment wyodrębnił i nazwał go *Miasto*. Kiedy dziś czytam te teksty, znajduję również w pierwszym motywy, od których – na miejscu poety – bym się nie odżegnywał, gdyż

był w nich zawarty jakiś załączek postawy, którą wyrażą późniejsze jego wiersze – od cyklu: *Świat (Poema naiwne)* po *Traktat moralny*. Przypomnijmy te strofy:

Kraino czysta, radości pełna,
Pól twoich mglista chwycie się welna,
Matko wesela.

W dłoni kryjącej czoło widziana,
Daleka, złudna i ukochana,
Za ognia, dymu jeziorem.

Kiedy już żadne słowo nie waży
I tylko oczy patrzaniem się cieszą,
Rzędy lip twoich, jak ciężkich lichtarzy
Do nas należą.

I jest tam jakiś prosty, biały stół,
Na którym można piękne rzeczy tworzyć,
I jest tam ręka zmieniona przez ból,
Aby w niej głowę po dniu pracy złożyć.

Kiedy jutrenka wstaje tobie ranna,
Błogosławione i wino i chleb,
I pieśń nadbiega z dolin triumfalna,
By w ciszy mijal ten, co w boju legł.

Pokój na wieki ludziom dobrej woli,
Wszystkim, co prawdę ziemi poznać chcą.
Aż, jako ziarno bywa od kąkolu,
Od dobra będzie oddzielone zło.

Większe wrażenie wywarł jednak wówczas na mnie i głęboko zapadł mi w pamięć fragment pt. *Miasto*. Pierwszy raz w latach okupacji odnalazłem w nim tak przejmującą wizję mojej rodzinnej Warszawy, zrujnowanej, smutnej a przecież właśnie w tych strofach ukazanej nie tylko z bólem, ale i z jakimś przeczuciem tego, co później nazwie poeta „ocaleniem”:

Nad ruinami wstaje dzień, wędrowny grajek pustym oknom gra,
Z głową na bok schyloną skoczne tany ze skrzypki wywodzi.
A w oknie tylko niebo, gołębi miga ćma,
I tak w tej rannej ciszy świat nowy się rodzi.

I wiatr, gdy struny drutów pękły, martwe drzwi otwiera,
Na których kłamce dotąd pozostał niezmyty
Ślad ręki przypadłego za morzem bohatera

I toczy po pokoju dziewczyny zabitej
Szczesany z włosów puch [...]

Wiersz jest jakby elegijnym skrótem przeżyć poety, który do Warszawy dotarł po długiej wędrówce „poprzez węgierskie góry, sowieckie ugory”. Miłosz często podkreślał swój niechętny stosunek do Warszawy, która dla niego, na Litwie urodzonego studenta wileńskiego uniwersytetu, była obca, naznaczona szpetotą niegdysiejszej stolicy przywislanskiego kraju, pozbawiona urody jego stron rodzinnych. Ale w tym liryku złożył Warszawie najpiękniejszy hołd:

O Bolesna. Na gruzach praskich grająca kapela,
Mosty w dymach i serce bijące – i to wszystko.
I los – jak niebo, kiedy się rozdziela
Linia ognistą.

Słowacki? I to ten z *Hymnu* [*Smutno mi Boże*], a więc najbardziej osłuchany. Może dlatego później Miłosz znielubił ten wiersz? I trzy lata temu poprosił mnie, bym go nie dawał do mojej antologii szkolnej? Szerzej o tym za chwilę. Ja natomiast do dziś nie umiem oprzeć się urokowi zamykającej ów wiersz i brzmiącej mi wciąż w uszach strofy:

Grajku poranny, komu ty tak grasz,
Tam są schody bez domu i piętra bez żywych.
– Tobie gram, najpiękniejsze z urojonych miast
I najsmutniejsze z prawdziwych.

Moje ówczesne spotkania z Miłoszem i Jerzym Andrzejewskim były dość częste, jak na okupacyjne warunki. Pamiętam jedno, w mieszkaniu na Mazowieckiej, róg Kredytowej, u Antoniego Bohdziewicza, z którym Miłosz znał się jeszcze z Wilna i któremu z czasem obaj z Andrzejewskim chcieli powierzyć realizację ich scenariusza *Robinson warszawski*, nim szaleństwa peerelowskiej cenzury i jej mododawców nie sprawiły, że Miłosz wycofał się z firmowania swoim nazwiskiem zniekształconego i oddanego w ręce innych realizatorów filmu o tym tytule, ale w treści całkiem sprzecznego z koncepcją autorów pierwotnego scenariusza.

Pamiętam może najlepiej spotkanie w moim mieszkaniu na Żoliborzu, przy Krasińskiego 18, kiedy Andrzejewski czytał tekst pierwszego ze swych okupacyjnych opowiadań, z czasem włączonych do tomu *Noc*. Opowiadanie to pt. *Przed sądem*, kreśliło obraz moralnego załamania się bohatera, który – nie umiejąc przewyciężyć rozpaczony samotnego umierania – wydaje Niemcom przyjaciela. Tragiczna wymowa opowiadania wzbudziła gwałtowny sprzeciw części słuchaczy: przede wszystkim nastawionych na jednoznaczny ideowo i moralnie model litera-

tury moich przyjaciół z lewicy, zaangażowanych już wtedy w konspiracyjną działalność PPR: Stefana Żółkiewskiego, Władysława Bieńkowskiego, Jana Kota. Uczestniczący w spotkaniu poeci – i to zarówno Miłosz, jak również zbliżony do PPR Mieczysław Jastrun – próbowali, o ile pamiętam, bronić utworu, podejmującego przede wszystkim problem psychologiczny – bez moralnego wartościowania postępków bohatera. Spotkanie to odbyło się gdzieś na początku, a może i w połowie 1942 roku. W tym też właśnie czasie Miłosz i Andrzejewski zaczynają wymieniać pomiędzy sobą długie listy-eseje, które ukażą się w przeszło pół wieku po ich powstaniu w tomie pt. *Legends nowoczesności*, wraz z cyklem esejów Miłosza, wtedy napisanych i tylko częściowo przed drukiem *Legend* publikowanych. O tych tekstach, świadectwie niezwykle wręcz natężenia pracy myślowej Miłosza i jego intelektualnych niepokoїв, nie wiedziałem wtedy.

PIEŚŃ NIEPODLEGŁA

Byłem natomiast jednym z posiadaczy pierwszej, wydanej konspiracyjnie antologii polskiej poezji czasu wojny, której autorem był Miłosz i która nosiła tytuł *Pieśń niepodległa*. Ukazała się ona w 1942 roku w konspiracyjnym wydawnictwie „Oficyna Polska”, prowadzonym od 1941 przez Zenona Skierskiego pod auspicjami podziemnej organizacji „Wolność”, do której wciągnął wówczas Miłosza Wacław Zagórski, brat poety Jerzego.

Te wszystkie nazwiska ujawnione zostały oczywiście dopiero po wojnie: w czasie okupacji nikt z nas nie zdradzał nawet najbliższym przyjaciołom swoich konspiracyjnych powiązań. Wiersze zamieszczone w *Pieśni niepodległej* ukazywały się jako twórczość anonimowa i tylko w niektórych wypadkach, gdy chodziło o poetów przebywających na emigracji, jak np. Władysław Broniewski czy Julian Tuwim, lub o bliskich przyjaciół, osoby – jak ja – związane ze środowiskiem literackim Warszawy, a raczej jakąś jego częścią, orientowały się, kto był autorem niektórych wierszy. Brałem wtedy czynny udział w organizacji poranków poetyckich, odbywających się w prywatnych mieszkaniach warszawiaków łaknących takiej namiastki życia kulturalnego. Główną organizatorką tych spotkań była Maria Wiercińska, recytatorka i żona znanego reżysera Edmunda Wiercińskiego. Wspominam o tym, choć Miłosz nie uczestniczył w tych imprezach. Podziemne życie kulturalne w latach okupacji toczyło się w ramach spotkań raczej kameralnych, ale przedsięwzięcia tego typu, jak nasze poranki i konspiracyjna antologia Miłosza, jakoś zahaczały o siebie. W antologii znajduję np. wiersze Józka Stachowskiego, poety, który wraz ze mną, Jerzym Zawieyskim i Jerzym Kierstem

współtworzył zespół prelegentów na organizowanych przez Marię Wiercińską porankach.

Dojdro przedrukowując, już jako noblista, tekst konspiracyjnej *Pieśni niepodległej* w wydawnictwie Wydziału Slavistyki uniwersytetu stanu Michigan w Ann Arbor⁵ Miłosz zaopatrzył to wydanie z roku 1981 w angielską przedmowę, w której wymienił Jerzego Andrzejewskiego jako współpracującego z nim przy układaniu tej antologii, a także rozszyfrował autorstwo zawartych w niej tekstów. Ich autorami byli: Władysław Broniewski (*Krzyk ostateczny, Bagnet na broń, Żołnierz polski i Droga*), Władysław Sebyła, już wtedy jedna z ofiar zbrodni katyńskiej, (wiersz z 1938 roku o inc. *I tylko tupot nóg soldackich*), Witold Hulewicz (*Warszawa*, przy czym w owym amerykańskim przedruku błędnie podano imię poety), Światopełk Karpiński (*Szedłem Tatarską...*), Leopold Staff (*Wiosna kłęski, Dokola noc, Nad światem*), Czesław Miłosz (*Szedłem dzisiaj przez ogród, Równina, Kołęda, Pieśń niedobrych synów*), Krzysztof Kamil Baczyński (*Psalm o lasce*; wiersz o inc. *O miasto, miasto, Jeruzalem żalu*), Józef Stachowski (*Opowiadanie*), Anna Świrszczyńska (poemat *Rok 1941*), Roman Koloniecki (*Pieśń wiary*), Jerzy Zagórski (*Ballada o Serbii, Pieśń niewidomych Niemców, Modlitwa do Matki Boskiej Począjowskiej*), Antoni Słonimski (*Pozdrowienie dla autora „Drogi”, Rozmowa, Syreny*), Julian Tuwim (fragment *Kwiatów polskich*), jak również Stanisław Baliński (fragmenty poematu *Poranek warszawski*, których autorstwo w owej amerykańskiej reedycji błędnie przypisano Antoniemu Słonimskiemu)⁶.

Pewną ciekawostką antologii jest proza poetycka pt. *Postawy* pióra francuskiego poety Jeana le Louet, który przeżył w Polsce okres kampanii wrześniowej, a potem był jako obcokrajowiec internowany w obozie nad Jeziorem Bodeńskim, razem ze Stanisławem Dygatem. Co do zamieszczonych w antologii wierszy Miłosza, warto zauważyć, że tylko jeden z nich, *Równinę*, autor przedrukował w *Ocaleniu*, trzy pozostałe wylączył z przypominanego nam dzisiaj poetyckiego dorobku.

Poswięciłem nieco miejsca *Pieśni niepodległej*, bo jest dziś w gruncie rzeczy mało znanym epizodem okupacyjnej działalności poety, na ogół nieskłonny do jej przypominania, zwłaszcza gdy chodzi o udział w konspiracji niepodległościowej. Wiąże się to, w moim przekonaniu, z jego ogólniejszą postawą niechęci doamykaria go w patriotyczne stereotypy, do czego nieraz jeszcze przyjdzie mi w tych wspomnieniach powracać.

POD ZNAKIEM TYGRYSA I BARANA

W kręgu osób związanych z organizacją „Wolność” znalazł się również jeden z moich jeszcze przedwojennych znajomych, którego indywidualność w nicoczekiwany dla mnie sposób zafascynowała Miłosza. Osobą tą był wybitny młody filozof, Tadeusz Juliusz Kroński. Poznałem go w 1935 roku na seminarium estetyki profesora Władysława Tatarkiewicza, gdzie uchodził – obok przedwcześnie zmarłego Bolesława Micińskiego – za jedną ze wschodzących gwiazd wydziału filozofii. Jeszcze wcześniej, bo w roku 1934, poznałem, będąc we Lwowie, późniejszą żonę Krońskiego, Irenę Krzemicką, która na uniwersytecie Jana Kazimierza studiowała filozofię u prof. Romana Ingardena i filologię klasyczną u prof. Ganszyńca. Potem Irena przeniosła się do Warszawy, chyba już przed wojną pobraли się i trudno było sobie wyobrazić bardziej dobraną i oddaną sobie parę. Oboje Krońscy darzyli mnie i moją ówczesną żonę Beatę bardzo ciepłą sympatią i kiedy w okresie lat 1942–43 również stosunki między Miłoszem i Krońskimi weszły w fazę przyjaźni i obopólnej fascynacji, zaczęliśmy się dość często spotykać w naszych domach, w szczęsioosobowym gronie trzech par małżeńskich: Czesława z jego żoną Janką, obojga Krońskich i mnie z Beatą. W komentarzu do powojennej korespondencji ze mną Miłosz wyraźnie zaznacza, że oboje Krońscy darzyli mnie „szczególnymi względami i uważali za bliskiego przyjaciela”.

Była to – dodajmy – przyjaźń szczególnego rodzaju, bo charakter jej został określony przez ogólny sposób bycia i styl zachowania Krońskiego, w którym wyrażała się cała jego niezmiernie oryginalna osobowość. Kiedy zastanawiam się nad tym dzisiaj, uderza mnie, jak niewielką rolę w stosunkach Krońskich ze mną, a nawet i z Miłoszem, odgrywała czysto profesjonalna wiedza filozoficzna ich obojga, której ja – przyznając szczerze – nie podjąłbym się oceniać, choć wszystko wskazywało na to, że była to wiedza rzetelna i głęboka. Myślę, że Miłosz miał więcej filozoficznego odczytania i danych do jej oceny, ale i on, jeśli sądzić po tym, jak Krońskiego charakteryzuje, ulegał nie tyle jego filozoficznym racjom, co sugestywności stylu, swoistemu teatrowi póź, przy pomocy których Kroński te racje jak gdyby odgrywał.

Jednym z elementów teatralizacji stosunków z otoczeniem, tak przyjaciółmi jak adwersarzami, był dla Krońskiego ludyczny sposób ich określania żartobliwymi przezwiskami. Sam przezwiał siebie Tygrysem (kocia drapieżność z ognikiem złośliwego humoru w przymrużonych, ciemnych oczach znamionowała go niewątpliwie), oddaną mu i zakochaną w nim bez pamięci żonę nazywał albo Baranem albo Burkiem, co sygnalizowało zarówno jej łagodność, jak czujną wierność, bo Irena aż do przedwczesnej śmierci męża podporządkowywała się

całkowicie jego opiniom i regułom podjętej przez niego gry, przekształcającej życiowe i filozoficzno-ideowe dylematy w swoisty teatr. Dopiero po jego śmierci zdecydowała się i potrafiła zaznaczyć w wielu sprawach swoją własną, nieprzeciętną osobowość, zachowując jednak kult dla pamięci męża – również w czasie, kiedy bieg historii obnażył kontrowersyjność jego zachowań i znaczną rozbieżność cenn jego działalności w ostatnich latach życia.

„Fascynacja czyjąś osobowością, przyjaźń intelektualna wymyka się niemal słowom” – pisał Miłosz o Krońskim w *Rodzinnej Europie*, poświęcając mu cały ostatni rozdział książki pt. *Tygrys*:

Tygrys był zaprzeczeniem filozofa zawodowego, który dzielił czas między wysiłek umysłu i całą resztę, odciętą, zostawioną na pastwę powszechnie obowiązującego obyczaju. Filozofował bez ustanki i całym ciałem: mimiką, ruchem, przedrzeźniając, odgrywając, z miłością, z niechęcią czy z szyderstwem, różne poglądy i postawy. Odtaczał filozoficzne systemy, zamiast wywodu tłumaczył je na zachowanie się holdujących im ludzi. [...] Tygrysa spotkałem jak rzeka drążąca sobie łożysko na równinie spotyka drugą rzekę: było to z dawna przesądzone, naturalne. I miało oczywiście teraz dla mnie konsekwencje, zarówno polityczne jak artystyczne. Bo „tygrysizm” był filozofią działania, ale tak trudną, że dostępną tylko dla łaskawie przez mistrza wybranych kilku godnych. Żeby ją uprawiać, należało pielęgnować „humor historyczny” czyli raczej zrzeczność, taką jak pływanie albo bieg, niż umiejętność nadającą się do wyłożenia komuś w teorii.

Nie całkiem zgadzam się z tą sugestywną charakterystyką Krońskiego, która wyszła spod pióra znakomitego poety. Rozumiem, że nie każde filozofowanie musi być tylko funkcją intelektu, bywa nader często, że uczestniczą w nim emocje, i tak zapewne było w wypadku Krońskiego, myślę jednak, że pomiędzy wyborem jego ryci intelektualnych, a teatrem zachowań, jaki uprawiał, związki były dość dowolne i mało precyzyjne. Myny, dowcipy, przewiska – wszystko to miało ułatwić akceptację dokonanych wyborów myślenia i postępowania, ale przecież właśnie na przykładzie Miłosza widać najlepiej, że wcale nie ułatwiły, że drogi poety i filozofa musiały się w pewnym momencie rozceścić, bo nie „filozoficzny taniec”, ale poważne decyzje ideowe i etyczne o postępowaniu tym rozstrzygały. Zejdźmy jednak z obłoków uogólnień na ziemię. Nasze kontakty miały dwie fazy: fazę spotkań osobistych w ostatnich dwu latach hitlerowskiej okupacji i fazę późniejszej korespondencji oraz dotyczących owego późniejszego czasu decyzji – w latach 1945–1950. Zacznijmy od fazy pierwszej.

W PERSPEKTYWIE „WYZWOLENIA OD WSCHODU”

Co nas w czasie naszych okupacyjnych spotkań do siebie zbliżało? Na pewno humor Tygrysa nadawał określoną atmosferę naszym rozmowom, ale tym, co zapamię-

tałem przede wszystkim, było meritum naszych rozmów. Wszystkich nas trzech niepokoiły podobne zjawiska w sytuacji okupowanej Polski i zagrożenia, gdy chodzi o perspektywę jej wyzwolenia. Byliśmy wszyscy trzej jakby z nieco podobnej formacji, gdy chodzi o postawy polityczne: krytyczni wobec niedawnej polskiej przeszłości, zdecydowanie niechętni przedwojennym postawom nacjonalistycznym i sympatiom określonych kół społeczeństwa wobec reżymów autorytarnych. Klęska wrześniowa potwierdzała słuszność tej krytycznej postawy. Ale też wszystkich nas trzech cechowała nieufność wobec miraży komunizmu, który – zwłaszcza po moskiewskich procesach i wejściu wojsk sowieckich na wschodnie tereny Polski – skłaniał do wyzbycia się przez ludzi myślących wszelkich złudzeń, nawet po zmianie sytuacji, tj. po napadzie Hitlera na Sowiety i przeobrażeniu niedawnego alianta Hitlera w sojusznika zachodnich mocarstw, od których – zdaniem wyraźnie przeważającej części opinii polskiego społeczeństwa – zależało nasze rzeczywiste wyzwolenie.

Mało kto ufał, że może ono przyjść ze wschodu, tymczasem widać było już wyraźnie, że – w wyniku strategii i kalkulacji mocarstw zachodnich – na teren Polski wejdzie Armia Czerwona, czyli nasze wyzwolenie będzie pozorne. Jak się do tego należało ustawić? Z największym poczuciem realizmu odnieśli się do tego założyciele i członkowie komunistycznej PPR, deklarując pełną wiarę i ufność wobec wschodniego sojusznika. Na ile była to wówczas rzeczywista wiara, a na ile tylko jej deklaracja, czyli polityczna gra, podyktowana realistyczną oceną sytuacji, trudno przesądzić. Rosjan niełatwo było przechytrzyć, byli nieufni i podejrzliwi, więc chcący skuteczną grę wobec Sowietów uprawiać, nawet sami przed sobą bali się na ogół przyznawać, że w gruncie rzeczy, zwłaszcza po własnych doświadczeniach z „raju krat”, jak dowcipnie sparafrazuje po latach dumne „Kraj Rad” Stanisław Barańczak, wszelką komunistyczną ortodoksję traktują pragmatycznie, czyli w głębi duszy tylko udają. Dotyczyło to na pewno w większym stopniu – raz jeszcze podkreślam – tych, co przeszli przez sowieckie doświadczenia. U krajowych pepercerców typu moich przyjaciół, Żółkiewskiego i Kotta, mogło to być trochę naiwne *wishfull thinking*.

Tymczasem my trzej – Miłosz, Kroński i ja – należeliśmy wszyscy do organizacji podziemnych wiernych rządowi londyńskiemu, choć wcale nie „prawicowych”. Przy czym moje powiązania z podziemną PPS–WRN poprzez działaczy, z którymi stykałem się na terenie mojej pracy w warszawskim Zarządzie Miejskim, wiodły do tych samych struktur na górze, co owa „Wolność”, w której zaprzysiężeni byli Miłosz i Kroński. I właśnie wtedy, pod koniec okupacji, w każdym z nas zaczęły się rodzić niepokoje, których źródłem była zarówno beznadziejność sytuacji Polski, jak bezradna i w gruncie rzeczy stracenięca taktyka polskiego Państwa Podziemnego. Front wschodni się zbliżał, tymczasem z enuncjacji prasy podzie-

mnej, sterowanej przez londyński rząd emigracyjny, trudno było się zorientować, jak ułożą się stosunki między formalnymi sojusznikami i jak my sami mamy się wobec realnych faktów zachować. U Krońskiego i Miłosza obserwowałem wyraźną irytację czymś, co można by określić jako chojrackie gesty typu „oficerskiego”. Wyraźnie wyczuwali, do czego doprowadzą. Ja miałem w moich kontaktach konspiracyjnych do czynienia z ludźmi wyjątkowej szlachetności i – jak się miało wkrótce okazać – odwagi cywilnej. Mam tu na myśli takich działaczy PPS–WRN jak Tadeusz Szturm de Sztrem czy Stefan Zbrożyna. Po wojnie i tzw. „wyzwoleniu” obaj wylądowali w peerelowskich więzieniach za samą, publicznie zadeklarowaną intencję stworzenia niezależnej PPS, nie reflektującej na zlanie się z komunistyczną PPR.

A nasze gadania oczywiście nie doprowadziły do niczego. Podobnie i o naszych losach zdecydował w dużym stopniu przypadek.

PRZEMIANY W POEZJI MIŁOSZA. MAGICZNA DATA 1943

Zastanawiając się nad tym, dlaczego jeszcze do dziś Miłosz tak wielką wagę przywiązuje do swego spotkania z Krońskim, a następnie do roli prowadzonej z nim po wojnie korespondencji⁷, trudno jednak nie zauważyć, że nie pokrewieństwo poglądów politycznych o tym decydowało. W *Rodzinnej Europie* tak m.in. pisał o Tygrysie:

Wolno powiedzieć, że wybór takiego czy innego stylu rozstrzygał dla niego o życiu i śmierci, że los ludzkości zależał nie od błazeńskich posunięć polityków, ale od rewolucji dla nikogo niemal niedostrzegalnych. Z nieporównaną zajadłością znęcał się nad prawie całą sztuką współczesną, ponieważ tak czy inaczej wywodziła się z romantyzmu, a romantyzm, wróg numer jeden, był wilgotny, lżawy i musiał zawsze prowadzić do wewnętrznego fałszu [...] Tygrys, ze swoim stałym przejawem jako środkiem aktorskim, wykpiwał Chopina: „Włeczenie utopionych dziewczyn, z których włosów plum, plum, plum, kapie woda” zapewniał, że nie uznaje innej muzyki niż „kiedy kilkunastu Niemczyków...” – tutaj wydymał policzki i dał w niewidzialny flet. Ale te przenośnie dla wtajemniczonych obejmowały znacznie więcej niż pociąg do Mozarta.

Jak to się stało, że te antyromantyczne diatryby Krońskiego spotykały się wówczas u poety z tak pozytywnym odzewem, choć już z przytoczonych zdań widać, że po latach, kiedy pisał *Rodziną Europę*, dostrzegał ich aktorską przesadę? Ferment, który dokonał się w poglądach Miłosza na własną poezję w latach wojny, miał niewątpliwie źródło w jego chęci oderwania się od chóru, jaki stanowiły głosy innych poetów polskich, będące reakcją na militarną klęskę we wrześniu 1939, na cierpienia narodu pod okupacją, na tyrtejskie wloty, które Miłosza za-

częły wtedy irytować jako wyraz patriotycznych stereotypów. Różne uzasadnienia przełomu, który nastąpił wówczas w jego poezji, sformułuje w kilka lat później: po zakończeniu wojny, po ukazaniu się zbioru *Ocalenie* (1945), w którym mogliśmy po raz pierwszy przeczytać utwory będące świadectwem tych jego wewnętrznych przemian.

Najbardziej może symptomatyczny był pod tym względem cykl pt. *Świat (Poema naiwne)* (1943). W nim po raz pierwszy Miłosz, tworzący w okupowanej Warszawie, a więc w samym epicentrum zbiorowych, okupacyjnych przeżyć i nastrojów, zdecydował się wręcz demonstracyjnie od nich oderwać, tworząc poemat będący jakgdyby baśnią o utraconym raju dzieciństwa, oglądanym – jak często podkreślał – nie bez lekkiego odcienia życzliwej ironii. Wkrótce potem napisał utrzymany w dość różnorodnych tonacjach cykl wierszy pt. *Głosy biednych ludzi*. Zawierał on parę wierszy budzących dość powszechny zachwyt, jak np. pogodnie ironiczna *Piosenka o końcu świata*, coś w rodzaju przewrotnie żartobliwego skwitowania minionego etapu wierszy utrzymanych w posępnie wizyjnej tonacji katastroficznej, pisywanych zarówno przez Miłosza jak innych żagarystów. Bardzo lubilem również zamieszczony w tym cyklu wiersz *Przedmieście*, również przejmujący dla kogoś, kto przeżył okupację w Warszawie, jak cytowane wyżej przeze mnie *Miasto*. Większość natomiast wierszy z cyklu *Głosy biednych ludzi* stanowi w moim odczuciu przede wszystkim próbę łamania kanonów poetyki dotychczas przez Miłosza stosowanej: łamania harmonii strofy, kanonu heroicznego spojrzenia na człowieka, przeżywającego groźbę czasu wojny itp. Wiersz jego bywa satyrą, polemiką, bywa ironiczną inwektywą (*Na pewną książkę*)⁸. Po wojnie utwory te wzbudzą dyskusję: wiele uwagi poświęci im Kazimierz Wyka w głośnym szkicu *Ogrody lunatyczne i ogrody pasterskie*,⁹ w którym czyni pociągający zarzut z tego, o co mu w najoczywistszy sposób chodziło: z tego, że manifestuje swoje nieprzystosowanie do sytuacji dziejowej, że szuka ucieczki od heroizacji, że „ucieka w arkadyjskie mity” albo w „publicystykę”. Miłosz podejmie polemikę z Wyką, ale to już będą inne czasy niż ten, w którym ów początek przełomu w poezji Miłosza się dokonał.

Zastanawiam się, czy już wówczas Miłosz traktował Tygrysa-Krońskiego jako powiernika w sprawach poetyckich. Dziś, kiedy ogłosił swoją korespondencję z Krońskimi z lat tużpowojennych, wiem, że tak się stało zaraz po wojnie. Miłosz konsultował z Krońskimi tekst *Traktatu moralnego*, co o tyle zrozumiałe, że wracał w tym poemacie w rejony sformułowań filozoficznych, ale nie tylko ten utwór poddawał ich ocenie. Szkoda nb., że nie cała ta korespondencja się zachowała i możemy tylko z długiego listu Miłosza („rok 1947 – przed połową września”) domyślać się, jak formułował Kroński swoje postulaty w stosunku do pierwotnego tekstu *Traktatu*. Jedno wynika i z owego

listu Miłosza, i z ostatecznej wersji *Traktatu moralnego*, którą znamy: rady przyjaciela przyjmował krytycznie i nie zawsze się do nich stosował. Już jednak fakt, że dedykował Krońskiemu piękny i programowo „klasyczny” *Central Park*, że wysyłał Krońskiemu rękopisy czy też maszynopisy wielu innych wierszy, które czytelnicy polscy niekiedy tylko mogli przeczytać w prasie krajowej z lat 1946–1950, częściowo natomiast miały one szanse do nich dotrzeć dopiero po opublikowaniu przez poetę w paryskim Instytucie Literackim tomu *Światło dzienne* (1953), świadczy, że traktował on ich jako wybranych i szczególnie zaufanych odbiorców swojej poezji, a także niejako współników tych przemyśleń, które decydowały o jej przemianach.

W komentarzu do powojennej korespondencji z Krońskimi Miłosz, podkreślając jej wagę i wpływ, jaki Kroński na niego wywarł, gdy chodzi o zwrot ku klasycyzmowi w poezji i niechęć do łzawych tonów romantycznych, odcina się już od niego zdecydowanie w kwestiach wyborów politycznych. W drukowanych po wojnie w prasie krajowej esejach różnie określał źródła przemian w swojej poezji. W polemice z Kazimierzem Wyką *List półprywatny o poezji*¹⁰ czy też w szkicu *Wprowadzenie w Amerykanów*¹¹, sugerował doniosłą rolę nowego doświadczenia, jakim była dla niego lektura poetów amerykańskich. W szkicu o poezji Iwaszkiewicza pt *Nad książką czyli cudze chwalicie*¹² tak określał dwa nurty poetyckiego języka, które walczyły ze sobą w polskiej poezji od połowy XIX wieku: „jeden pełen wigoru, celności i cierpkości, drugi »zwiewny«, »nastrojowy« oznaczający koniec wychowania klasycznego”. Uważał, że walka tych nurtów nadal trwa i wyrażał obawę, że właśnie w okresie powojennym

napór sentymentów zbiorowych powołał do życia poezję publicznych nastrojów, szczypiącą serce póki jest aktualna, ale raczej krótkowzroczną[...] W poezji takiej słabe w istocie rusztowanie języka jest kryte przez apel do wspólnych cierpień, wspólnych żalów i nadziei – czyli raz jeszcze duch narodewy rozgrzesza wątlność, a nawet przynosi sławę.

Wszystko to zdaje się tłumaczyć, dlaczego Miłosz nie lubi do dziś wielu swoich wierszy z wcześniejszych lat okupacji, zwłaszcza tych, w których przebijają tradycyjne patriotyczne sentymenty. Nie zawsze się z nim w tych ocenach zgadzam, ponieważ uważam, że jego struktura psychiczna zawsze broniła go dość skutecznie przed wszelką łzawością i sentymetalizmem, a jego niechęć do uchodzenia za patriotycznego barda, choć na tle panujących u nas tendencji niewątpliwie zdrowa, wynika też w dużej mierze z pewnej przekory. Często mam ochotę w takich wypadkach bronić Miłosza przed nim samym.

Warto zwrócić uwagę także na to, co mówi Miłosz o swoim „przełomie” z 1943 roku:

Kiedy byłem młody, byłem bardzo solenny. Miałem elementy autoironiczne w swoich wierszach z tego okresu, ale może ich nie drukowałem [...] faktem jest, że poczują ironiczna zaczyna się u mnie dopiero podczas wojny. Trudno obyć się w XX wieku bez ironii, bez groteski, bez bufonady, to są narzędzia naszego wieku. W samej ironii jest coś niedobrego, bo to jest pewnego rodzaju lęk przed wystawieniem się. Ale to może być użyte do dobrych celów. Powiedzmy *Świat (Poema naiwne)* [...] jest utworem czystej ironii, ale ironii bardzo odległej od tego, co się nazywa sarkazmem¹³.

Próbuję sobie przypomnieć, które z powstałych w czasie okupacji wierszy Miłosza znałem już wtedy, a które przeczytałem dopiero po wojnie, w *Ocaleniu*. I zupełnie nie potrafię dziś zdać sobie z tego sprawy. Na pewno znałem wspaniałe *Campo di Fiori*, drukowane w roku 1944 w konspiracyjnej antologii *Z otchłani* (Wyd. Ż.K.N., Warszawa 1944). Ilekroć czytam ten wiersz i dochodzę do miejsca, w którym poeta od obrazu „koszów oliwek i cytryn” na rzymskim Campo di Fiori przechodzi do wspomnienia karuzeli, kręcącej się na Placu Krasińskich, pod murem warszawskiego getta, mam nieodpartą, choć – być może – całkiem mylną skojarzenie. Bo to przecież koło tej karuzeli, na nieistniejącej już dziś, a jakże żywej w pamięci przedwojennego warszawiaka ulicy Nowiniarskiej, mieszkał Jerzy Andrzejewski, nim przeprowadził się na Bielany. Więc może z jego okna, z okna mieszkania, w którym bywałem, oglądał Miłosz tę karuzelę? Choć przecież mógł ją widzieć równie dobrze z tramwaju, którego trasa biegła pod murem getta, Bonifraterską. Lecz kiedy powstało *Campo di Fiori*? Przed przelosem czy po? Niezależnie od daty powstania wiersza, poeta nie zaliczał go nigdy, i słusznie, do utworów, w których uległ zbiorowym stereotypom wyobraźni i nie usunął nigdy z żadnego z wyborów swoich wierszy.

A jakie wspomnienie kojarzy mi się najdobitniej z tym stanem stanem ducha Miłosza, który nazwał on po latach „poczuciem, że coś mu się otwiera”, „uczuciem nowego początku”? Tu nie mam żadnych wątpliwości. Ten stan ducha poety miałem okazję zapamiętać, kiedy w dniu 20 lipca 1944 roku, a więc na 10 dni przed wybuchem Powstania, wybrałem się z mojego Żoliborza w Aleję Niepodległości, gdzie Czesław obchodził swoje ostatnie okupacyjne imieniny. Nie był to już dla mnie co najmniej od roku czy od lat paru ktoś, kto mnie traktował z dystansem. I na pewno nie był to Miłosz „solenny”. Teraz zachowaniem przypominał raczej Krońskiego, tak jak go opisał, „odtańczającego filozoficzne systemy”. Tyle, że dla Czesława odśpiewywaną tego dnia i odtańcowywaną filozofią był jego wiersz *Piosenka pasterska*:

Ogrody, piękne moje ogrody!
 Takich ogrodów nie znajdziesz w świecie.
 Ni takiej czystej, wiecznie żywej wody,
 Ni takiej wiosny, zatopionej w lecie.

Do dziś słyszę melodię tej wyśpiwywanej przez poetę strofy i mam w oczach jego dionizyjski taniec. A także widzę, jak Czesław z wtedy właśnie przeze mnie poznanym Stefanem Kisielewskim zabawia się budzącym paroksyzmy śmiechu „gombrowiczowskim pojedynkiem na miny”. Minie blisko 40 lat nim – już jako noblista – Miłosz powtórzy z Kisielem tę zabawę – nie tylko w mojej obecności, lecz również fotografa z CAF-u, który ją utrwalił...

ZARAZ PO WOJNIE. *OCALENIE* I MOJE PRÓBY JEGO OCENY. „KUŹNICA”

Już w osiem dni po wspomnianych tu imieninach Czesława bieg historycznych wydarzeń rozdzielił i nas, i Krońskich. Mnie mój los odciął od objętej pożarem Powstania Warszawy: znalazłem się na prawym brzegu Wisły, na linii otwockiej, gdzie wynająłem lotnisko dla rodziny. Czesław z Janką, mieszkając w Alei Niepodległości, na obszarze nie ogarniętym Powstaniem, lecz obsadzonym przez Niemców, zdolali wydostać się polami z miasta i wylądowali w podkrakowskich Goszycach. Nie jest prawdą, co poniektórzy chcieliby dziś wytknąć pocięciu, że w okupowanej Warszawie nie brał udziału w konspiracyjnej działalności. Z tego, co wyżej napisałem, wynika wyraźnie, że był w nią zaangażowany. Należał natomiast zdecydowanie do tych, którzy krytycznie oceniali decyzję władz państwa podziemnego o wybuchu Powstania. A przecież nie on jeden tak się do owej decyzji odnosił. Z naszych trzech par powiązanych okupacyjnymi spotkaniami tylko Krońscy przeżyli cały okres Powstania w Warszawie. Mnie pierwszemu dane było wyzwolić się spod okupacji niemieckiej, zetknąć z namiastką wolności i armią w polskich mundurach oraz załóżkami nowych władz w Lublinie. A równocześnie zetknąć się z niepojętą dla tych, co tego nie przeżyli, specyfiką systemu, w którym, gdybym był wtedy znał *Rok 1984* Orwella, mógłbym skonstatować sprawdzanie się wszystkich orwellowskich spostrzeżeń: nazywanie nowej niewoli – wolnością, określanie ofiarnej walki podziemnej AK jako „współpracy z okupantem” lub w najlepszym razie jako „stania z bronią u nogi”, nazywanie cynicznego wyczekiwania aż wykrwawi się Powstanie – „obiektywną niemożnością” udzielenia mu pomocy itp. Jasne było zarazem, że żaden jawny, a tym bardziej zbrojny sprzeciw nie jest możliwy, co więcej – grozi zagładą, a wszelka konspiracja ma stokroć mniej szans niż pod okupacją nazistowską. Nonsensowne było także wszelkie wstrzymywanie się od udziału w organizowaniu nowego życia w kraju: do udziału takiego wzywał po prostu instynkt samozachowawczy. A także nadzieja, że jednak coś niccoś będzie od nas zależało. Kiedy w końcu stycznia roku 1945 pojechałem do

Krakowa, by znaleźć i zabrać z jednej z podkrakowskich wsi wywiezioną tam po Powstaniu moją matkę, spotkałem się z Czesławem i Janką. Mieszkali z Brezami przy ul. św. Tomasza i dosłownie rzucili się na mnie, spragnieni pierwszych wiadomości o tym, „jak tam jest”, jak ta „lubelska Polska” naprawdę wygląda.

Czesław miał w kręgu nowych elit grono potencjalnych protektorów. Żagarysta Putrament współrzędził w nowym światku literacko-dziennikarskim, a z niego, jak niebawem mieliśmy możliwość stwierdzić, nie trudno było dla wybranych o skok na placówkę dyplomatyczną. Tak jak krążyły wtedy anegdota, że Jerzy Borejsza, który rządził „Czytelnikiem” i ruchem wydawniczym, jest „ponad Partią” (wkrótce miało się to okazać gorzkim złudzeniem), podobnie dawni żagaryści uważani byli w literackim światku za potężną i nawzajem popierającą się grupę przyjaciół.

Podczas gdy dla Miłosza rok 1945 to ważny okres wydania *Ocalenia*, a później wyjazdu na placówkę do USA, moje losy dały mi też pewną szansę. W ciągu dwu lat (1945–1947) związany przydziałem mobilizacyjnym z wojskowym dziennikiem „Polska Zbrojna” i z Łodzią jako czasowym miejscem zamieszkania, jeszcze przed demobilizacją znalazłem przyjazne środowisko w łódzkim tygodniku literackim „Kuźnica”, założonym przez moich dawnych przyjaciół, ustawionych politycznie nie mniej korzystnie niż dawni koledzy Miłosza z „Żagarów”. „Kuźnica” formułowała program ofensywy ideologicznej, mającej na celu przyciągnięcie lewicowej inteligencji pod sztandar marksizmu, ale redagowało ją grono pisarzy, których ideowa ortodoksja zaczęła z czasem budzić w kierownictwie partii coraz więcej zastrzeżeń. Z początku dominowało w niej zelanctwo doświadczonego stażem wygnańczego w Sowietach Ważyka i cieszących się zaufaniem współtwórców i adherentów podziemnej PPR – Żółkiewskiego i Kotta. Z czasem ton pismu zaczęli nadawać również i inni członkowie redakcyjnego zespołu, dla których było ono przede wszystkim swoistym parasolem ochronnym. Zresztą nawet Ważyk i Kott orientowali się bardziej na literaturę francuską niż na wzory radzieckie, zaś prowadzący dział poezji Mieczysław Jastrun gustował o wiele bardziej w Borysie Pasternaku czy Achmatowej niż w Majakowskim, co szybko naraziło go na ataki młodych partyjnych gorliwców i zapaleńców, spod znaku Wiktora Woroszylskiego i Tadeusza Borowskiego. Polityka kulturalna Żdanowa budziła w nas grozę. Najbardziej „farbowany lis” naszego zespołu, Paweł Hertz, też doświadczony latami rąbania lasu na Uralu, coraz śmieiej przemyślał do pisma swoje upodobania, kształtowane na lekturach André Gide’a i Marcela Prousta. Wreszcie czołowy prozaik „Kuźnicy”, Adolf Rudnicki, wyrastał na pierwszego piewęć posępnego tematu zagłady Żydów, co partyjni protektorzy „Kuźnicy” do czasu tolerowali, ale bez entuzjazmu. Eksponowanie kwestii żydowskiej nie było dla nich ani wtedy, ani później wygodne.

Kiedy na początku 1947 roku zamieściłem w „Kuznicy” obszerną i – w moim zamierzeniu i przekonaniu – niezwykle przychylną recenzję z *Ocalenia* Miłosza, byłem w zespole pisma dość osamotniony w moim entuzjazmie i podziwie dla autora tego zbioru. Jak już pisałem, nie bardzo jeszcze się wtedy orientowałem w ówczesnym zwrocie Miłosza do programu klasycznego, w ogóle ta nagle reanimowana, dość XIX-wieczna w moim ówczesnym przekonaniu opozycja „klasycyzm – romantyzm”, trochę mnie zaskakiwała. Mieczysław Jastrun, z którym wówczas obcowałem w redakcji na co dzień i serdecznie się przyjaźniłem, sygnalizował u siebie zupełnie inną ewolucję poglądów artystycznych. Właśnie w nawiązywaniu do wielkich wzorów polskiego romantyzmu widział zdrową przeciwwagę dla rzekomej dekadencji nurtów symbolistycznych, którym sam przedtem ulegał i dla tendencji awangardowych (Przyboś), którym przeciwstawiał się równie zdecydowanie jak Miłosz, choć z innych nieco pozycji. Można powiedzieć, że roił nam się wtedy w „Kuznicy” jakiś poetycki humanizm, nie rezygnujący z praw wyobraźni, ale nachylony ku surowej prawdzie historycznych doświadczeń, przez które świat właśnie przeszedł. Swoją szkic o *Ocaleniu* zacząłem od analizy wiersza *Dzień tworzenia*, który mnie oczarował, by na jego przykładzie ukazać całą świetność warsztatu poety. Kończyłem zaś konkluzją następującą:

Poezja Miłosza wydaje nam się tym świetniejsza, im więcej odsłania złożonych i różnorodnych elementów świata materialnego. Im silniej akcentuje walory sensualistyczne świata, a także przeżycia psychologiczne człowieka. Pod tym względem Miłosz jest artystą o nieczrównanej sile wyrazu. Paleczka Prospera, której magiczne działanie podziwiać mogliśmy przy analizie *Dnia tworzenia*, z równym czarodziejstwem służy mu tam, gdzie chce on nas przekonać do spraw najbardziej nam bliskich i ludzkich, jak tam, gdzie odwodzi nas w krainę „arkadyjskich mitów”, dostępną tylko jego śmiałej fantazji. Z równą sugestywnością odwraca też on naszą uwagę od zawsze posłusznego biegowi poetyckiej wyobraźni toku spraw rzeczywistego świata. Niebezpieczne to, choć urzekające narzędzie czarów, zwłaszcza jeśli znajdzie się w ręku poety, który talentem przerósł zdecydowanie wszystkich swoich rówieśników.

Te „arkadyjskie mity” wzięłem oczywiście od Wyki, którego wspomniany wyżej szkic *Ogrody lunatyczne i ogrody pasterskie* ukazał się wcześniej. Był szkicem w znacznie większym stopniu polemicznym wobec Miłosza niż moje uwagi, choć zapewne wnikliwszym i głębszym. Toteż doczekał się ze strony poety polemicznej riposty w szkicu *List półprywatny o poezji*, niezmiernie ważnej dla zrozumienia jego ówczesnej drogi poetyckiej. Jak zareagował na moją recenzję Miłosza, mogłem się po pewnym czasie trochę domyślać ze wzmianek, jakie znalazłem w listach Krońskich, z którymi, podobnie jak poeta, nawiązałem już w owym czasie korespondencję. Toteż mój pierwszy list do Czesława, z dnia 21 stycznia 1948, nazywałem od razu na początku „aktem odwagi”, gdyż – jak pisałem – „mój wywiad”, dotyczący reakcji poety na moją recenzję „wypadł niekorzystnie”. Ten „wywiad”

to były – rzecz jasna – sugestie Krońskich, po których zachował mi się z tamtych lat równie bogaty i smakowity pakiet listów, jak ten, który stanowią listy do Miłosza przez niego przed paru laty opublikowane.

KORESPONDENCJA Z KROŃSKIMI

Listy Krońskich, zarówno adresowane do Miłosza, jak do mnie, to oczywiście pasjonujący dokument psychologiczny. Ciekawe byłoby ich porównanie i zastanawiam się, czy w sytuacji, w której Miłosz zdecydował się opublikować ich korespondencję, nie powinienem zrobić tego samego. Mam jednak opory. Słuchając głosów czytelników korespondencji Krońskich, ogłoszonej przez Miłosza, dochodzę do wniosku, że poeta nie przyczynił się do umocnienia dobrej opinii o nich, a zwłaszcza o Tygrysie. Myślę, że gdybym opublikował ich listy do mnie, to jeszcze bardziej bym ich pogrzyżył, chociaż od najbardziej szokującej strony, tj. od strony wypowiedzi politycznych Tygrysa, listy do Miłosza są bardziej kompromitujące. W moich dominuje raczej plotka towarzyska, folgują w nich sobie Krońscy, wykipiwając najbliższe otoczenie z kręgu polskiej ambasady w Paryżu: do złośliwości pod adresem Maryny i Jerzego Zagórskich dochodzą kpiny z innych osób, głównie ówczesnych stypendystów polskich z PRL, niekiedy do dziś żyjących, i miałbym poważne skrupuły, gdybym chciał te igraszki upubliczniać, pomimo niewątpliwej uciechy, jaką by to niektórym czytelnikom mogło sprawić.

Problemem głównym nie jest dla mnie jednak ta czysto plotkarska strona listów, Krońskiego zwłaszcza. Problemem jest coś, co nazwałbym stopniem dopuszczalnej dwulicowości i obłudy, którą człowiek przyzwoity może w danych warunkach uprawiać – zarówno w stosunku do krytycznie ocenianej władzy, z którą jednak ze względów – powiedzmy uczciwie – oportunistycznych (choć także wówczas wymuszonych przez sytuację), współpracuje, jak w stosunku do najbliższych przyjaciół. Trudno bowiem twierdzić, że np. Miłosz, nastawiony zdecydowanie krytycznie do komunizmu, a mimo to reprezentujący komunistyczną władzę na placówce dyplomatycznej PRL, nie zachowywał się oportunistycznie. Podobnie za wysoce oportunistyczny trzeba uznać mój akces do „Kuźnicy”, skoro moją intencją było raczej osobiste urządzenie się, a zarazem możliwie jak najdalej idące „rozmiękczenie” ideologiczne pisma, w którym pracowałem. Młodzi zapaleńcy typu ówczesnego Woroszyńskiego doskonale to wyczuwali, atakując „Kuźnicę” z wyraźnym przyzwoleniem władz partyjnych, kiedy nadszedł po temu odpowiedni moment. Gdybym był prostolinijnym komunistą (chyba jednak mniej było takich już wtedy, niż się na ogół myśli), nie zabiegałbym przecież o współpra-

cę Miłosza z „Kuźnicą”. Czy wolno mi więc ówczesną, niewątpliwą obłudę Krońskich potępiać i uważać za coś nieco innego niż zachowanie się Miłosza i moje?

A jednak, kiedy czyta się ich listy, zwłaszcza listy Krońskiego do Miłosza, ma się taką ochotę. Na ich usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że znaleźli się w trudniejszej od nas sytuacji. Mogąc po wojnie wyjechać bądź do Polski, bądź na Zachód, wybrali to drugie, choć – jak wciąż akcentują – „nienawidzili faszystów”, określając tym mianem zarówno całą naszą powojenną emigrację, jak np. francuską prawicę. Marzyli o zrobieniu doktoratów w Paryżu, kusiła ich „*la douce France*”, ale nie mieli pieniędzy. I – jak się niebawem okazało – na dostateczne wsparcie ze strony emigracji liczyć nie mogli. Zdecydowali się więc na współpracę z polską ambasadą w Paryżu i drżeli ze strachu, że zostanie im wypomniany początkowy kontakt z „Kulturą” Giedroycia.

Kroński wyraźnie się boi i czuje zmuszony do określania własnej lojalności w sposób znacznie dosadniejszy i jaskrawszy, niż lojalny pracownik dyplomatycznej placówki lub członek redakcji „Kuźnicy”. Jego polityczna naiwność jest przy tym rozbijająca. Androny, jakie wypisuje w listach do Miłosza ten wybitny filozof na temat polityki kulturalnej Żdanowa czy na temat poglądów popieranego wtedy przez Stalina i tępiącego genetyków agrobiologa Łysenki, dystansują prymusów ówczesnego lizusowstwa. Nawet w marksistowskiej „Kuźnicy” śmiech wywołałoby by określenie „marksistowski poeta”, bo rozumieliśmy, że do że poezji nie da się zastosować ideologicznego strychulca. A Kroński z rozbijającą prostodusznością wykrzykuje, że chce aby Miłosz był „marksistowskim poetą”. Niby to są żarty, ale niezupełnie. Próby przypodobania się Putramentowi (bo mocny, może pomóc lub zaszkodzić) i podniecanie się groteskową i sztucznie krzesaną „nienawiścią do Dupasa – Zagórskiego (bo słaby i w dodatku nawet nie ukrywający swego dystansu do oficjalnej ideologii) – budzą – z jednej strony – śmiech, z drugiej niesmak. Przycinki pod adresem „Kuźnicy” Żółkiewskiego i Kotta wynikają nie z tego, że deklarują się oni wówczas jako marksści, ale przeciwnie – z tego, że Kroński orientuje się w słabościach ich dialektyki, że chce pokazać, iż sam jest bardziej filozoficznie obkuty i gotów do wierniejszego i bardziej elastycznego służenia władzy całą swoją wiedzą¹⁴.

Odrębny rozdział to dwulicowość w stosunkach z dwójgiem rzekomo najbliższych przyjaciół; w listach do mnie Tygrysy licytują się w deklaracjach miłości zarówno pod adresem Smarkacza (przezwisek przyszłego noblisty) jak Pysia czyli mnie. W listach do Miłosza poświęcają mnie, by mu się przypodobać, co nie powinno dziwić, bo w końcu to nie ja, ale Miłosz jest wielkim poetą, w dodatku zafascynowanym osobowością Tygrysa i jego antyromantycznymi deklaracjami. Zarazem Miłosz znakomicie się tym bawi i właśnie jako poeta o solidnym, klasycznym wykształceniu w wileńskich uczelniach, doskonale rozróżnia, co u Kroń-

skich może uważać za drożdże, na których wyrosną jego nowe poetyckie osiągnięcia, a co za zwykle teatralne efekty. A mimo to coś z małych intryg Tygrysa pozostanie: Miłosz – prawdopodobnie nawet nie przywiązując wagi do moich ówczesnych recenzji o sobie, a może nawet ich nie czytając – uwierzy podszeptom Tygrysa o moich rzekomych „napaściach” na niego i echo tego znajdzie się jeszcze w jego komentarzu do moich listów z tamtego czasu.

MOJA WYMIANA LISTÓW Z MIŁOSZEM

Inaczej przedstawia się moja ówczesna korespondencja z poetą. Zaczęła się – jak już wspomniałem – później, na początku 1948 roku. Za cel miała pierwotnie – z mojej strony – uzyskanie dla „Kuźnicy” wierszy lub innych materiałów literackich od Miłosza, który mnie z kolei fascynował, choć wiedziałem, że Jastrun, kierujący w piśmie działem poetyckim, nie odnosi się do Miłosza z takim jak ja entuzjazmem.

W ogóle stosunek większości zespołu redakcyjnego „Kuźnicy” do Miłosza był wtedy raczej obojętny. Pismo miało swoich poetyckich bardów, albo przeświadczonych o własnej wyższości – jak Jastrun – albo zbyt przejętych swoją rolą w zespole, by chcieć poszerzać krąg poetów z piśmem związanych. Zwrócenie się do Miłosza o współpracę było moją osobistą inicjatywą, od tego zaczęła się nasza korespondencja, której dziś polscy czytelnicy zawdzięczają kilkanaście bardzo interesujących listów autora *Traktatu moralnego*. Ciepły stosunek do Miłosza miał w „Kuźnicy” – oprócz mnie – chyba tylko Paweł Hertz. Później okazało się, że Miłosz cenil także wysoko Ważyka: jego ówczesna rola strażnika marksistowskiej ortodoksji najwidoczniej Miłoszowi nie przeszkadzała, podobnie jak deklaracje analogicznej ortodoksji filozoficznej u Krońskiego. Myślę, że merytoryczne powody sympatii do Ważyka tkwiły w pewnej suchości wierszy tego poety, który – w przeciwieństwie do Jastruna – akcentował więź z tradycją klasyczną i nieufność do dziedzictwa romantyczno-symbolicznego.

Odczytując dziś dawne listy Miłosza do mnie, utwierdzam się w przekonaniu, że są one pasjonujące i jako wyraz poglądów poety, i jako dokument, świadczący o tym, jak wielkiej pracy intelektualnej dokonywał – myślę o zakresie jego lektur i refleksji na ich temat. Ale niezależnie od obiektywnych walorów owych listów, mam głębokie poczucie, że sam bardzo wiele im zawdzięczam. Korespondencja nasza przypadła na najbardziej posępny okres w dziejach powojennego zniewolenia naszej kultury: okres rozwiania się pierwszych powojennych złudzeń, że potrafimy jako społeczeństwo zachować przynajmniej w pewnych sprawach względną

samodzielność, okres uniformizacji politycznej, a także kulturalnej pod szyldem tzw. „realizmu socjalistycznego” itd. Sprawy te dziś są dobrze znane. Otóż, kiedy próbuję obecnie czytać niektóre swoje teksty powstałe w owej epoce, odnoszę czasem wrażenie, jakbym nie ja je pisał, ale zupełnie ktoś inny, o niepojętych dziś dla mnie właściwościach adaptacji do ówczesnych warunków, co Miłosz mi słusznie w komentarzu do moich listów wypomina. Słusznie np., w jednym ze swoich ówczesnych listów do mnie, poddaje ostrej krytyce moją ówczesną, dość zawstydzająco prymitywną recenzję *Kwiatów polskich* Tuwima. Przy czym ta krytyka jest tym bardziej wymowna, że sam Miłosz miał do Tuwima jako poety wyraźnic krytyczny i niezbyt chętny stosunek. Wiedział jednak, że nie tak należy wielkiego poetę krytykować, jak ja to wtedy, w 1949 roku, zrobiłem. Wyciągnąłem wnioski z tej krytyki, przyznałem Miłoszowi rację i po latach miałem okazję wyrazić mu swoją wdzięczność w moim obszernym wstępie do „Czytelnikowskiego” wydania wierszy Tuwima, pisanym w latach osiemdziesiątych.

Wdzięczność moja dla Miłosza nie tylko do tego zresztą się sprowadza. Choć w naszych listach nie brak miejsc, w których polemizujemy ze sobą, odnoszę wrażenie, że Miłosz sposobem, w jaki do mnie pisze, mnie ówczesnego jakoś podciąga w górę, że w korespondencji z nim nie osuwam się do poziomu, na jaki czasem spychała mnie atmosfera ówczesnych dyskusji w prasie literackiej. Może nie byłem w tym osuwaniu się osamotniony, byli wtedy nawet bardzo wybitni pisarze, którzy mnie znacznie w tym osuwaniu przelicytowali, korząc się przed fałszywym bóstwem przodującej partii, ale słaba to pociecha. W każdym razie, o ile śmieszą mnie intryganckie donosy Tygrysa, który podszeptuje Miłoszowi, że gdzieś go rzekomo atakowałem, o tyle nie mogę temuż Krońskiemu odmówić racji, kiedy wybucha wściekłością po przeczytaniu którejś z moich ówczesnych wypowiedzi w ogólnej dyskusji o poezji z 1950 roku. Kroński, który właśnie wtedy wrócił do Polski, w Paryżu wypisywał polityczne brednie dla nas, w Polsce nie do przyjęcia, ale z kolei na tutejsze ogłupienie w sprawach literackich zareagował jak człowiek z zewnątrz, który tutejszej aurze jeszcze nie zdążył ulec.

SPOTKANIE W 1950 ROKU. ODWOŁANIE MIŁOSZA Z PLACÓWKI

Zabawnie się to zresztą w mojej pamięci nakłada na moje osobiste wspomnienia z tamtego czasu. Krońscy wrócili do Polski jesienią 1949 roku. Już pierwszy po pięciu latach osobisty kontakt z nimi, kontakt czuły, pełen wybuchów serdeczności (przecież nie wiedziałem, co pisał o mnie w listach do Miłosza), uświadomił mi stopień schizofrenii w ich ocenach peerelowskiej rzeczywistości. Byli zbyt inteli-

gentni, by nie przerazić się prymitywnym poziomem dyskusji literackich. Byli jednak równocześnie przeświadczeni, że ich miejsce jest w kręgu nieco tylko innej odmiany inżynierii dusz ludzkich niż ta, którą reżym stalinowski obarczał pisarzy. Tygrys został redaktorem działu marksistowsko-leninowskiego w partyjnym wydawnictwie „Książka i Wiedza”, a wkrótce potem profesorem w nowopowstałym Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych (późniejszym Instytucie Nauk Społecznych), prowadzonym przez Adama Schaffa i mającym za zadanie walkę z filozofią idealistyczną. Nie mogłem oprzeć się przeświadczeniu, że mimo wszystko wśród niesfornych indywiduów, jakimi są na ogół literaci, Tygrys jako escista mógłby odnaleźć dla siebie większy margines swobody niż w filozoficznej szkole marksistowskich janczarów. Zasugerowałem mu to, choć rozumiałem, że w środowisku filozofów czuł się pewniej i bardziej na swoim miejscu.

W grudniu 1950 roku Miłosz przyjechał do Polski. Już był przeniesiony z Waszyngtonu na placówkę do Paryża. Bardzo był tym zatroskany, bo Janka oczekiwała drugiego dziecka, a po jej skomplikowanym pierwszym porodzie uznali, że bezpieczniejsze jest, jeżeli na drugi pozostanie w Stanach. W mieszkaniu Tygrysów na Marszałkowskiej nastąpiło nasze pierwsze po latach, a jak się miało już nazajutrz okazać – jedyne spotkanie z poetą, poprzedzające nową, długoletnią z nim rozłąkę. Dla Tygrysa – ostateczną. Byliśmy wszyscy tym spotkaniem uszczęśliwieni i podnieceni. Czesław zaproponował, żeby to uczcić i pójść na jakieś wino. Ale okazało się, że w knajpie na rogu Wilczej i Marszałkowskiej wina nie ma, może być tylko wódka. Szyderczy śmiech Czesława:

– No właśnie! Teraz rozumiecie, dlaczego nie mam ochoty do Polski wracać, (natychmiast pomyślałem o „bóstwie wódki i kielbasy”, wydrwionym w *Traktacie moralnym*).

Zmrużone oczki Tygrysa, jakby chciał dolać oliwy do ognia: – Jakie ty masz śliczne, jasne ubranko, Czesiu! Widać, że amerykańskie. U nas nie ma takich ubranek!

Jeszcze nie wiemy, że dla Czesława to ostatni taki beztroski wieczór. Pamiętam jego rozradowaną twarz i słyszę wybuchy homeryckiego śmiechu. Nazajutrz dowiaduję się od Pawła Hoffmana, od zimy 1948 roku naczelnego „Kuźnicy”, a wówczas już „Nowej Kultury”, że Miłosz powiadomiony został w MSZ o odwołaniu z placówki. Taki był wtedy sposób na tych, co – poinformowani o odwołaniu zagranicą – odmawiali powrotu.

W literackiej Warszawie sprawa stała się natychmiast głośna. Miłosz podobno szalał. Miał na szczęście ten swój nieodparty wdzięk i wśród możnych ówczesnego kręgu władzy ludzi, których zdołał oczarować. Wspomniałem o Pawle Hoffmanie. Otóż wkrótce po mianowaniu go redaktorem „Kuźnicy”, jeszcze wychodzącej w Łodzi, do której z Warszawy dojeżdżał, ten stary komunista z wieloletnim partyjnym stażem powiedział mi któregoś dnia z wyraźnym niezadowoleniem:

– Diabli nadali, każą mi jechać do Ameryki, nie będzie mnie tydzień lub dłużej...

Spojrzałem na niego jak na szaleńca. Każdy z nas dalby wiele, gdyby mu wówczas zaproponowano taką podróż. Wnet jednak zrozumiałem, że funkcja, w której go wysyłano, niewiele dawała mu szans na satysfakcje turystyczno-poznawczej natury, a i te zdaje się owego niemłodego i zbyt steranego doświadczeniami lat spędzonych w ojczyźnie proletariatu człowieka niespecjalnie bawiły. – Będziecie jednak mieli okazję – napomknąłem (Hoffman należał do tego typu „starych towarzyszy”, do których nie mówiło się inaczej niż per „wy”) – poznać w polskiej ambasadzie bardzo wybitnego poeę, Czesława Miłosza. Pozdrówcie go ode mnie... Witając się ze mną po powrocie Hoffman powiedział: – Mielście rację, ten Miłosz to ciekawy człowiek. Inteligentny i świetnie myślący...

Nie muszę dodawać, że po tym oświadczeniu akcje Hoffmana wyraźnie u mnie wzrosły. Teraz przekazywał mi co jakiś czas komunikaty w sprawie Czesława i jego starań, by mógł jednakże pojechać do Stanów, do mającej rodzić żony. Formalnie decydował o tym ówczesny minister spraw zagranicznych, Zygmunt Modzelewski. Trudno mi jednak nie pamiętać, jaka to była epoka. Żaden, nawet bardzo wysoki dygnitarz państwowy czy partyjny nie rozstrzygał o takich sprawach sam. Każdy musiał przedstawić swoje argumenty zwierzchnikom i angażować w sprawę cały własny autorytet, czyli narażać się. Któregoś dnia usłyszałem od Hoffmana: – Dostał paszport, wyjedźcie, ale – tu spojrzał na mnie znacząco – on już tu nie wróci...

Wiedzieli więc. Za dobrze znali zarówno ustrój, jak ludzkie dusze, by tego nie przewidywać. A jednak go wypuścili. Niedawno wspomniał mi Miłosz, że w przedmowie do nowego wydania *Człowieka wśród skorpionów*, swojej książki o Brzozowskim, poczuł się uprawniony do ujawnienia pewnego sekretu, który dziś, po upływie wielu lat i śmierci wszystkich w sprawę wmieszanych, nie tylko nikogo nie obciąża, ale – na odwrót – tym, co mu pomogli, oddaje sprawiedliwość. Natalia Modzelewska, o której od początku było wiadome, że włożyła wiele serca, wstawiając się za poetą u męża, powiedziała mu, gdy wyjeżdżał, zdanie świadczące wówczas o niemałej odwadze: że w jej przekonaniu ma prawo nie wrócić, jeżeli swoje pozostanie zagranicą potrafi wykorzystać dla głoszenia światu prawdy o „przodującym ustroju”...

Skonstatowałem, że omownie i bezimiennie Miłosz pisał o tym już w *Rodzinnej Europie*. Napomykając o okolicznościach swego exodusu z PRL-u stwierdzał:

Dalszy ciąg, nieco zbyt sensacyjny jak na mój gust, nie zaprasza do wynurzeń, bo musiałbym pofolgować zamilowaniom do plotkarstwa i sondować psychologię paru starych komunistów, tak tragicznie doświadczonych, że skłonni byli mnie oszczędzać, z całą moją nieortodoksją i zachować dla przyszłości.

A w innym miejscu, przy opisie swoich – zarówno życiowych jak duchowych – perypetii po „wybraniu wolności”:

Bezpieczniej byloby siedzieć cicho i nie drażnić swoją beczelnością nikogo, jednak impulsy wyznaczające nasze przeznaczenie nie sprzyjają taktowi. Za długo dusił mnie knebel cenzury, żeby gniew nie wybuchł. Nadać sens mojej nowej sytuacji mogłem tylko pisząc prawdę o stalinizmie. Zresztą [tu uwaga! – przyp. mój R.M.] pamiętałem o zobowiązaniu, o tym wieczorze w Warszawie, kiedy odsłoniły mi się przepaści w ludziach o nicnagannej pozornie ortodoksji. Usłyszałem wtedy: „Uciekać wolno pod jednym tylko warunkiem. Jeżeli znajdzie się sposób, żeby walczyć”. Lapałem się więc teraz po każdym ciosie za szczękę i robiłem swoje.

Myślę, że w tych słowach zawarta jest nie tylko aluzja do tego, co usłyszał od Natalii Modzelewskiej, ale i geneza *Zniewolonego umysłu*, książki, którą zresztą poeta zawsze uważał jedynie za pewien zamknięty epizod swego twórczego życia, poświęconego sztuce, a nie polityce.

„MIŁOSZ ZDRADZIŁ...”

Tego, co działo się w Polsce po exodusie Miłosza, nie mam zamiaru szerzej przypominać. Akurat to jest aż nadto dobrze znane. I może nawet znamienne jest fakt, że głosy potępienia – myślę o tych w kraju – nie wychodziły od gorzko doświadczonych i skrywających swą tajemnicę starych komunistów, lecz raczej od tych, którzy fasadę systemu brali jeszcze za całą prawdę o nim i mogli powoływać się na angielską zasadę fair play nie pozwalającą ani urzędnikowi, ani pisarzowi na tzw. zdradę. Stąd owe *Odprawy, Poematy dla zdrajcy*, sugestia, że uciekający będzie prędzej czy później „zapomniany”, wychodzące spod piór autorów niekiedy cieszących się szacunkiem ze względu na wielokrotnie udowodnioną osobistą przyzwoitość, niekiedy popularnością należną ich talentowi.

Zgodnie z regułami systemu, nazwisko Miłosza znikło na wiele lat ze szpał gazet, z okładek nowowydanych książek, a nawet z bibliotecznych półek. Za to dla tych, którym zdarzyło się mieć książki poety, zarówno dawne jak nowe, u siebie w domu lub przemyć je z zagranicy, stały się one tym bardziej smakowitym owocem zakazanym.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy i jak dotarł do mnie *Zniewolony umysł*, który od razu po swym ukazaniu się wplątał poetę w orbitę sporów na temat przyczyn ulegania – i to często nawet ludzi wybitnych – systemowi komunistycznemu. Dla Miłosza był to problem bardziej zawily niż dla tych, co – jak np. Herling-Grudziński – uważali, że tylko strach i oportunistyczny stanowią motory takiej kolaboracji. Cały rozdział *Zniewolonego umysłu* pt. *Ketman*, jak również analiza szerszej

fascynacji ustrojem u kilku wybranych pisarzy, niekiedy nawet najbliższych przyjaciół Miłosza, jak Andrzejewski, miały za zadanie dowiedzieć się różne bywały zarówno drogi konwersji na nową wiarę “przodującego ustroju”, jak metody stosowane dla przetrwania w czasach duchowego terroru. Myślę, że przypadek Krońskiego też był dla Miłosza argumentem za tym, że można było pod maską ortodoksji zwalczać system metodą “kreciej roboty”. Wielu uczniów Krońskiego z INS, z Leszkiem Kołakowskim na czele, zachowało dla Tygrysa wdzięczność właśnie za to, że posługiwał się w stosunku do zaufanych metodą porozumiewawczych mrugnięć, czyli wyrozumowanej dwulicowości, zakładającej, że w pewnych warunkach ukrytą prawdę wyjawia się tylko wybranym. Miłosz oczywiście znał cenę takiego podwójnego morale, ale go bezwzględnie nie potępiał, za co był atakowany, zwłaszcza na emigracji. Oczywiście i on stawiał sobie pytanie, jakiej granicy nie wolno tu przekroczyć. W szkicu o Tygrysie przytaczał jego zdanie: „Wolno usunąć z katedry profesora (»szkodnika«), ale nie wolno go ani więzić, ani pozbawiać możliwości zarobku.” Sprawa była śliska. Dziś wiemy dobrze, że ówczesne pojęcie „szkodnictwa” może budzić tylko grozę. Wiadomo było, że Krońskiemu chodziło o systematycznie przezeń wykpiwanego „Apcia” czyli prof. Władysława Tatarkiewicza. I myślę, że żadne argumenty, żadne różnice naukowych poglądów nie usprawiedliwiały publikowania recenzji dyskredytującej uczonego pozbawionego przez władze katedry. Sądząc, że i Miłosz tak uważał.

„LUCIDA INTERVALLA”

„Polski październik” na krótki moment otworzył dla poety okienko w cenzurze. Sam z niego skorzystałem, publikując w 1957 roku na łamach „Nowej Kultury” recenzję *Traktatu poetyckiego*. Wkrótce jednak okienko się zamknęło. Z mego podręcznika dla maturzystów, który ukazał się w chwili po zatrzasknięciu okienka, kartkę z nazwiskiem Miłosza usuwano, zastępując odpowiednio ocenzurowanym tekstem. Ale z okresu stanowiącego owo *lucidum intervallum* kilka osób i pewna książka skorzystała. Jan Józef Lipski w porę zasugerował, by do wydawanej właśnie książki ku czci S. I. Witkiewicza włączyć szkic Miłosza *Granice sztuki*, napisany jeszcze w czasie okupacji. Wzruszył mnie młody poeta, który w swym debiutanckim tomiku zdążył zamieścić wiersz pt. *Czesław Miłosz*, zaczynający się od słów:

Zawsze tak piękny i młody
Na fotografii w tygodniku „Odrodzenie”,
Poeta, do słów którego boję się przyznać,

[.....]
 Skromnie mądry, z ziarnkiem soli na wardze
 Skandujący Owidiusza, przerażony
 Gdy słyszy jak skowycze azjatycka noc¹⁵

Osobliwe bywają meandry ludzkich poglądów, gustów i emocji. Dziś ten wybitny poeta nie zgodził się na druk zacytowanego wyżej wiersza w mojej antologii, podobnie jak Miłosz nie zgodził się na druk pięknego liryku o okupacyjnej Warszawie.

A oto inny przykład zawitych korowodów ludzkich myśli i odczuć. W roku 1957, kiedy pierwszy raz po odcinającym nas od Zachodu okresie stalinowskim pojechałem do Francji, Stanisław Vincenz w rozmowie ze mną wyrażał się z pewnym zdziwieniem o przygnębieniu i moralnych niepokojach, które nie przestały nurtować Miłosza pomimo upływu lat od jego zerwania z PRL, pomimo wydanych już przez niego później świetnych, nowych książek oraz oparcia, jakie autor *Światła dziennego* i *Doliny Issy* znalazł w kręgu przyjaciół z paryskiej „Kultury”. – On ciągle ma poczucie winy i doprawdy nie wiem, jak mu pomóc – zapamiętałem słowa Vincenza. O tym, że życie wygnańca nie było lekkie i że on sam nie zawsze był łatwym człowiekiem – miałem nieraz okazję myśleć, choć może jeszcze za wcześnie, by pewne sprawy analizować, skoro zarówno poeta, jak niektóre godne szacunku, a jednak skonfliktowane z nim osoby żyją i łatwo przekroczyć granicę dyskrecji, cytując ich listy i wypowiedzi.

Gdy chodzi o zakazy druku i wymiśniania nawet nazwiska poety w Polsce, to brano się na różne sposoby. Do utartych należało posługiwanie się peryfrazą: „żagarysta”, „autor *Traktatu poetyckiego czy Ocalenia*” – to mogło czasem przejść. Jako autor kolejnych wydań podręczników usilowałem co jakiś czas dokonywać prób: może przejdzie? Jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych spotykałem się jednak z bezradnym rozkładaniem rąk: „jest zapis na nazwisko...”

Właśnie „Zapis”! Ten tytuł jednego z pierwszych pism drugoobiegowych sygnalizował początek nowej epoki: epoki „drugiego obiegu” wydawniczego, który nie liczył się z cenzurą. W tym samym mniej więcej czasie coś drgnęło także w obiegu oficjalnym. Któregoś dnia, roku bodaj 1975, w każdym razie w czasie, kiedy prezesem „Czytelnika” był jeszcze Ludwik Kasiński i kiedy jeszcze pracowała w nim Irena Szymańska, zostałem poproszony do gabinetu prezesa: – Jest możliwość wydania Miłosza – usłyszałem. Najwidoczniej był odpowiedni sygnał z KC. Wiedzano, że wiążą mnie z poetą nici dawnej przyjaźni. Upoważniono mnie, bym do niego napisał z prośbą o zgodę na wydanie wyboru jego poezji. Miłosz zgodę wyraził. I nawet nie spierał się o druk wierszy, które cenzura mogłaby zakwestionować. Przeciwnie. Sam usuwał utwory o nucie politycznej. – Nie jestem poetą politycznym – podkreślał. Żądał tylko jednego. O wydanie jego wierszy starało się

też wydawnictwo „Znak”. – Jeśli „Znakowi”, któremu to obiecałem, pozwolą, to i u was chętnie wydam – oświadczył. I na tym sprawa utknęła. Wkrótce w KC nastąpiły jakieś personalne zmiany, w ogóle w połowie lat siedemdziesiątych zmienił się polityczny kurs. Wkrótce potem przestałem pracować w wydawnictwie.

NOWE SPOTKANIA – W DUŻYM SKRÓCIE

Gdybym chciał – metodą kronikarza – odnotować dalszy bieg wydarzeń, tzn. zarówno moich osobistych spotkań z poetą, jak naszej późniejszej korespondencji, nie mówiąc już o kolejnych relacjach z lektur jego książek, musiałbym powtórzyć to, co napisał o Miłoszu Jan Błoński: że Miłosz jest jak świat. Nie da się go ogarnąć ani w jednym szkicu, ani może nawet w tomie wspomnień, który na pewno musiałby być bardzo gruby.

Co zrobić? Sam opis pierwszego po latach osobistego spotkania z poetą, w Berkeley w 1979 roku, na rok przed Noblem, to temat do oddzielnej krótkiej opowieści. Zainteresowani znajdą ją w opublikowanym w „Czytelniku” zbiorze wspomnień Ireny Szymańskiej¹⁶. Miłosz w rozmowie z nią i ze mną poruszył sprawę śmierci Ksawerego Pruszyńskiego. Czy był to rzeczywiście samochodowy wypadek? Czy może starannie zaaranżowana akcja służb specjalnych? Poeta twierdził, że kiedy miał jechać w roku 1950 z Paryża do Polski, Skrzyszewski, ówczesny ambasador PRL w Paryżu, ostrzegał go: – Niech pan uważa, żeby nie było z panem jak z Pruszyńskim... To Miłoszowi dało do myślenia, choć wersja zabójstwa Pruszyńskiego wydaje się raczej mało prawdopodobna.

Natomiast gdy chodzi o pierwszą wizytę Miłosza w Polsce po Noblu, to monopol mam tylko na opis wizyty noblisty u Mirona Białoszczyńskiego, której byłem organizatorem i jedynym świadkiem. Zasypywany propozycjami spotkań, Miłosz w jednym tylko wypadku zareagował stwierdzeniem absolutnym: tak, chcę go zobaczyć. Opis tego, jak zawiozłem Czesława na Lizbońską i jak potoczyła się ta rozmowa „na szczyt polskiej”, można znaleźć w moim zbiorze *Powroty i pożegnania*¹⁷, w krótkim szkicu pt. *Spotkania z Mironem*. Konfrontacja była niewątpliwie ciekawa. – To, co pan robi z polskim językiem – powiedział Miłosz – jest tylko dla pana możliwe, bo pan jest stąd, z centrum. Dla mnie, urodzonego na Litwie, rusztowanie języka klasycznego jest nicodzione.

A liczne późniejsze spotkania? Z poetą, z jego kolejnymi książkami? O niektórych pisałem. Ostatni zbiór Miłosza pt. *To* nasunął mi m.in. takie refleksje:

Oscyłowanie pomiędzy świadomością tragizmu istnienia oraz zachwytem, podziwem i wrażliwością na uroki świata stanowi niewątpliwie centralną oś zbioru, rozpoczętego wierszem tytułowym, w którym poeta uzmysławia nam, że nie są mu obce ani świadomość zła, ani przerażenie nieodwracalnym wyrokiem, jaki na każdym z nas ciąży, a zakończonego dziecięcym aktem wiary w „jasności promieniste”, które pozwolą pojąć ukryty za niedosięzną zasłoną sens ziemskich spraw. Dla kogoś, kto poszczególne etapy rozwoju twórczości Miłosza śledził systematycznie, porażająca wręcz doskonałość tego zbioru nie jest zaskoczeniem...¹⁸

A moja korespondencja z Miłoszem sprzed pięciu lat, po tym, jak zaatakował go w prasie Zbigniew Herbert? Wysoko cenię poczę Herberta, lubiłem go, głęboko ubolewałem nad tą sprawą. Miłosz także. W liście do mnie, z 1995 roku, podkreślił, że – chcąc osądzać ataki agresji ze strony autora *Pana Cogito* – nie wolno nie doceniać powagi jego choroby. Przyznawał, że i sam nie jest bez winy, bo zdarzało się, że prowokował go nicogłędnymi żartami. Przed samą śmiercią Zbyszka wszakże, jednym telefonem do niego i serdeczną rozmową położył kres napięciom, zamknął – zdawało by się – usta wszystkim chętnym do żerowania na incydencie, który zwaśnił swego czasu obu poetów. Czytam dziś dawny, długi list Czesława do mnie, nie tylko w tej sprawie, czytam piękną i mądrą wypowiedź Katarzyny Herbertowej o mężu, daną w wywiadzie Jackowi Żakowskiemu¹⁹ i stwierdzam to, co oni oboje – pani Katarzyna i Czesław w stosunku do Herberta: że trwałość poetyckiego dzieła obu poetów unieważnia incydentalne konflikty²⁰.

WIECZÓR, KTÓRY ZAPADŁ MI GŁĘBOKO W PAMIĘĆ

Czym mam jednak zakończyć moje wspomnienia o spotkaniach z Miłoszem? Myślę, że epizodem, który sygnalizował przełom w oficjalnej recepcji wyklętego aż do owej chwili poety. Chodzi oczywiście o moment, w którym Miłosz otrzymał Nobla. Aż mi się wierzyć nie chce, że to już przeszło 20 lat. Jest rok 1980. Kończą się wakacje. Cała Polska żyje wydarzeniami w stoczni, powstaniem „Solidarności”, podpisaniem porozumień gdańskich. Spotykam Józia Hena, wówczas preza warszawskiego oddziału ZLP.

– Wiesz – mówi – chcielibyśmy zacząć tegoroczny sezon imprez w Związku czymś znaczącym. Chcielibyśmy zrobić wieczór poezji Miłosza. Czy byś go nie zagaił? Jestem oczywiście bardzo wdzięczny Józiovi za tę propozycję. Planujemy, że wiersze recytować będzie Gustaw Holoubek. W pewnym momencie przychodzi mi na myśl, że powinienem porozumieć się z bratem i bratową poety. Wiem, że wszystko, co Czesława dotyczy, żywo ich obchodzi. Spotykam się z Grażyną. Ma całą serię nagrań wierszy recytowanych przez Czesława. Postanawiamy uświetnić wieczór obecnością przynajmniej głosu poety. Zabieram się do

pisania wstępu. Wieczór ma się odbyć 15 października. Spotkałem się z Grażyną siódmego. Nazajutrz słyszę jej wzruszony głos w telefonie: Czesław dostał Nobla!

Oczywiście, cały zaczęty wstęp idzie do kosza. Muszę go pisać od nowa, ale to głupstwo. Już po godzinie telefon z telewizji. Chcą naturalnie wypowiedzi o nobliście. – Czy pan nie wie, gdzie można odfotografować okładki książek Miłosza?

Gdzie? U mnie. Jak przyjedziecie, to sfotografujecie, mam prawie wszystkie. Dzwonię do Wydawnictw Szkolnych. – Czy zapis na Miłosza nadal obowiązuje? Jeżeli n.e, to kiedy mam przynieść rozdział mu poświęcony? Leży u mnie gotowy od pięciu lat, muszę go tylko trochę zaktualizować.

Nadchodzi 15 października. Zjawiam się w siedzibie ZLP z półgodzinnym wyprzedzeniem, ale na pierwsze piętro przedostaję się już nie bez trudu. Przy wejściu na salę zbity tłum. Wraz z Holoubkiem i Henem wchodzimy od tyłu, wejściem zamkniętym dla publiczności i przedzieramy się na podium z mównicą i stołem prezydenckim – niemal po ludzkich głowach.

Wieczór zaplanowany jako zwykłe, kameralne spotkanie kolegów-literatów, zamienił się niemal w masówkę. Najbardziej cieszy mnie, że wszystko mogę o poecie powiedzieć bez przemilczeń, podkreślić rolę Giedroycia i paryskiej „Kultury” w całym okresie jego przebywania poza krajem. Przy druku tekstu w „Polityce” stopień swobody będzie już niestety mniejszy. Cenzura jeszcze działa. Ale co ludzie na sali usłyszeli, to usłyszeli. Czy mogłem taką chwilę w życiu przewidzieć?

Kiccy w osiem miesięcy później Miłosz pierwszy raz po latach przyjedzie do Polski, wszystko to się jakoś powtórzy. Jeszcze frenetyczniej, bo z jego udziałem. Ale dla mnie ów wieczór 15 października 1980 roku pozostanie najważniejszy. Bo to wtedy dokonał się przełom. Od tamtego dnia wszystko szło już swoją, nową koleją.

Warszawa, styczeń – marzec 2001

Przypisy

¹ R. Matuszewski, *Czesława Miłosza dążenie do formy pojemnej*, w: *Poznawanie Miłosza. Studia i szkice o twórczości poety*. Pod red. naukową Jerzego Kwiatkowskiego. Kraków 1985.

² Por. m.in., *Dookoła polskiej Nagrody Nobla*, „Polityka” nr 26/1269 z 27 VI 1981, przedruk w: R. Matuszewski, *Powroty i pożegnania*, Warszawa 1987. *Spotkania z Mironem*, tamże.

R. Matuszewski, *Nieufność wobec ludzkiej natury i „pięknych idei uniwersalnych”* (recenzja tomu *Hymn o perle*), „Polonistyka” 1985, nr 1.

R. Matuszewski, *Późny Miłosz*, „Kultura i Życie”; dod. „Życia Warszawy” 23 IX 1988.

R. Matuszewski, *Poeta pamięta i rozumie więcej niż rusycysta* (polemika z Adamem Pomorskim w sprawie a.t. Miłosza *Poeta i państwo*, „Plus-Minus”, „Rzeczpospolita” z 7 XII 1996), „Plus-Minus”, „Rzeczpospolita” z 11–12 I 1997.

R. Matuszewski, *Noblista frustratem?* (polemika z felixonem Anny Tatariewicz *Milosz złośliwy* na temat *Abecadła* Milosza), „Polityka” 1997 nr 35.

R. Matuszewski, *Piesek o głębszym znaczeniu* (recenzja zbioru Milosza *Piesek przydrożny*), „Nowe Książki” 1997 nr 12.

R. Matuszewski, *Listy Milosza. i do Milosza*, „Dekada Literacka” 1988 nr 11.

R. Matuszewski, „...i jeszcze z nadzieją...”, (recenzja tomu Cz. Milosza *To*) „Nowe Książki”, nr 12, r. 2000.

³ Cz. Milosz, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950*, Kraków 1998.

⁴ Patrz: J. Szczawiej, *Poezja Polski Walczącej 1939–1945*, Warszawa 1974, tom 2. R. Matuszewski, *Wrzesień 1939*, Cz. Milosz, *Fragment wrzesniowego poematu*, s. 7–16.

⁵ *Pieśń niepodległa*. Oficyna Polska w Warszawie. *The invincible Song. A Clandestine Anthology*, Warsaw 1942. Edited by Czesław Milosz. Reprinted by „Michigan Slavic Publications” 1981.

⁶ Myślę, że to samo dotyczy przypisanego Słonimskiemu wiersza *Niebo*, który nie figuruje w żadnym ze zbiorów tego poety, a występujący w nim motyw Krzemieńca wskazuje raczej na autorstwo Stanisława Balińskiego, choć i w jego *Poezjach zebranych* wiersza tego nie ma.

⁷ Zob.: Cz. Milosz, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950*, s. 227–342.

⁸ Zamieszczony w tomie *Ocalenie*, w cyklu *Głosy biednych ludzi* wiersz Milosza pt. *Na pewną książkę* był polemiką z konspiracyjnie wydaną broszurą *Ku czemu Polska szła?*, której autorem, ukrywającym się pod kryptonimem „Jadźwing”, był prof. Bogdan Suchodolski.

⁹ K. Wyka, *Ogrody lunatyczne i ogrody pasterskie*, „Twórczość” 1946, nr 5. Przedruk w: K. Wyka *Rzecz wyobraźni*, wyd. 2, Warszawa 1977.

¹⁰ Cz. Milosz, *List półprywatny o poezji*, „Twórczość”, 1946, nr 10 Przedruk w: Cz. Milosz *Kontynenty*, Paryż 1958, s. 65–77.

¹¹ Cz. Milosz, *Wprowadzenie w Amerykanów. Rzecz o poezji amerykańskiej*, „Twórczość” 1948, nr 5. Przedruk w: Cz. Milosz „Kontynenty”, Paryż 1958, s. 78–113.

¹² Cz. Milosz, *Nad książką czyli cudze chwalice*, „Odrodzenie” 1948, nr 4.

¹³ E. Czarnańska, *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miloszem. Komentarze* New York 1983.

¹⁴ Szkic niniejszy był już napisany, kiedy ukazała się znakomita książka prof. Marii Janion pt. *Do Europy tak, ale razem z naszymi umarłymi* (Warszawa 2000), a w niej obszerny rozdział pt. *Kroński – Milosz. Epizod z dziejów myśli i poezji*. W studium tym Maria Janion analizuje szczegółowo, zarówno na podstawie ogłoszonej przez Milosza korespondencji z Krońskimi, jak obszernej literatury przedmiotu, przebieg tej osobliwej wymiany myśli na gruncie wspólnej nieufności do tonacji romantycznych i urzeczenia klasycyzmem oraz nieoczekiwanych, a także różnych u obu korespondujących ze sobą stron, konsekwencji tych – zdawało by się politycznie niczego nie determinujących – opcji artystyczno-filozoficznych.

Mnie w moim szkicu wypadło wprawdzie wątkowi Milosz-Kroński poświęcić sporo miejsca, ponieważ – jak nikt inny – sprawie tej z bliska się przyglądałem, ale równocześnie nie chciałem, aby zdominowała ona moje własne wspomnienia i refleksje z poezją i osobą Milosza związane. Nie chciałem też politycznych aberracji Krońskiego zbytnio eksponować i oszczędziłem mu najbardziej bulwersujących cytatów z jego listów. Maria Janion mu ich nie oszczędza, jako że wokół nich właśnie rozgorzał na nowo spór o Tygrysa. Nie oszczędza ani owego „Jestem bezwzględny optymistą, jeśli chodzi o przyszłość Europy wschodniej. O ile ustali się w niej komunizm stalinowski” (list z 21 IX 1947), ani późniejszych, domagających się intensywniejszej walki z katolicyzmem i zamknięcia wszystkich wydziałów humanistycznych na wyższych uczelniach oraz zastąpienia ich „innymi instytucjami”. Wreszcie owego najbardziej przerażającego „My sowieckimi kolbami nauczymy ludzi w tym kraju myśleć racjonalnie bez alienacji” (list z 7 XII 1948).

W końcu faktycznie trzeba było mieć, tak jak Milosz, świadomość, że wykrzykuje to człowiek, który

ze strachu chce oswoić piekło, by pomimo owych grozą wiejących zdań nie tylko nie zerwać przyjaźni z Krońskim, ale z właściwą wielkiemu poecie przewrotnością intelektualnej wyobraźni przyznawać się po latach do wciąż żywej fascynacji jego osobą. W istocie Kroński tylko w tych okropnych cytatach z listów Miłosza był tak jednoznacznym uosobieniem narodowego i obywatelskiego zaprzaństwa. I Maria Janion nie po to jego popisy epistolarne przypomina, by go ostatecznie pogrzyżyć. Jej wnikliwa analiza głoszonej przez Krońskiego koncepcji „wybranej sekty filozofów”, zachowującej prawdę dla siebie i przystosowującej się do zewnętrznych konieczności, by przetrwać, ma na celu jedynie wyjaśnienie źródeł urzeczenia Miłosza. „Wydaje się – pisze – że ukrywa się tu jeden z korzonków współczesności. Miłosz przeszedł intelektualnie przez wszystkie piekła i niektóre raje XX wieku. [Oczywiście akcent musi tu paść na owo „intelektualnie” – w sensie dosłownym najstraszniejszych piekieł XX wieku los na szczęście poecie oszczędził: trudno do nich zaliczać dobrowolne wygnanie na zachodzie w zestawieniu z pieklami tych, co przeżyli osobiście obozy, Holocaust czy choćby Powstanie Warszawskie – przyp. mój R.M.]. Cały nasz świat idei i wyobrażeń jest u niego zawarty. Bez Miłosza polska doświadczona osobiście wiedza o wieku XX byłaby tak zubożona, że nie wiem, czy mogłaby się utrzymać na swych rachitycznych nóżkach”. (*Do Europy...* s. 220). Trzeba więc – zdaniem Marii Janion – przyjąć za dobrą monetę to, co wielki poeta mówi o roli filozofa, który go intelektualnie zapładniał, budząc w nim zarazem opór moralny. O tej dychotomii rozumu i moralności Maria Janion przypomina zresztą nie bez racji, że była znamieną dla romantyzmu właśnie. Podczas gdy sam rozum i upodobania klasyczne wcale nie zawsze chroniły przed wyborem moralnie fałszywym, czego dowodzą liczne przykłady, choćby opisana przez Krońskiego *Sprawa Maurrasa*, który klasyczne upodobania łączył z szokująco reakcyjnymi poglądami, antysemityzmem itp. U Miłosza okres zwrotu do klasycyzmu był oczywiście artystycznie owocny i wspaniały, co miałem okazję podkreślić w moim szkicu *Czesława Miłosza dążenie do formy pojemnej*. Wszystko, co napisał, od cyklu *Świat (Poema naiwne)* poprzez okres *Traktatu moralnego*, do *Traktatu poetyckiego* – to długi ciąg utworów o nieprzemijającej wartości. Ale warto też przypomnieć, co pisał już w *Prywatnych obowiązkach* o daremności swego antyromantycznego sprzeciwu:

„Buntowałem się nieraz przeciwko romantyzmowi, ale na Mickiewicza, Słowackiego i Norwida, czytanych w bardzo młodym wieku, nie ma żadnego antidotum, to zostaje. Stąd ograniczona możliwość wyboru, sprowadzająca się do mniej lub bardziej inteligentnych odmian romantycznego w gruncie rzeczy poglądu na poezję. Według tego poglądu poeta jest to człowiek wezwany, który może próbować umknąć od wyznaczonego mu z góry losu, ale to mu się nie uda – jak nie udało się prorokowi Jonaszowi, choć opierał się i klócił się z Panem Bogiem” (*Prywatne obowiązki*, Paryż 1972, s. 83).

¹⁵ J. M. Rymkiewicz, *Konwencje*, Łódź 1957. Warto zauważyć, że Rymkiewicz, który wkrótce potem wystąpił z szeroko rozwiniętym własnym programem zwrotu poezji ku klasycyzmowi (por. J. M. Rymkiewicz, *Czym jest klasycyzm?*, Warszawa 1967) i program ten konsekwentnie realizował we własnej twórczości, nigdy – ani wówczas (co mogło tłumaczyć się trudnościami cenzuralnymi), ani potem (gdy trudności te znikły) nie powołał się na Miłosza jako swego poprzednika w tych dążeniach.

¹⁶ I. Szymańska, *Miałam dar zachwytu. Wspomnienia wydawcy*, Warszawa 2001.

¹⁷ R. Matuszewski, *Powroty i pożegnania*, Warszawa 1987. Szkic *Spotkania z Mironem*, s. 312–321.

¹⁸ R. Matuszewski, *...I jeszcze z nadzieją...* „Nowe książki” 2000 nr 12.

¹⁹ „Pani Herbert”. *Katarzyna Herbert w rozmowie z Jackiem Żakowskim*. „Gazeta Wyborcza”, 31 XII 2000 – 1 I 2001.

²⁰ Niestety, już po napisaniu tego szkicu okazało się, że nie wszyscy podzielają ten punkt widzenia. W „Życiu” z 11 I 2001 Jacek Trznadecł w artykule *Zbigniew Herbert na miarę „Wyborczej”* staraniu Katarzyny Herbertowej, by w osobie jej męża „oddzielić [...] wspaniałego człowieka, jego

intelektualną biografię, jego twórczość, jego wspaniałe emocje od chorobowej nici, która oplótła całe jego życie”, przeciwstawił pogląd, że wypowiedzi politycznych i personalnych ataków poety na karb jego choroby złożyć się nie da. Intencją Trznadla jest uczynienie z Herberta sztandarowego przedstawiciela określonej opcji politycznej. Podobną tendencję zaprezentował także wyświetlony 29 I 2001 w programie I telewizji film o Herbercie w reżyserii Jerzego Zalewskiego pt. *Obywatel poeta*. W tydzień później, 5 II 2001 w I programie TV pokazany został film o Herbercie o zupełnie innej tendencji pt. *Poeta Doctus* (reż. Piotr Zaluski). Agresywnej i napastliwej wersji spojrzenia na życie poety przeciwstawił urodę jego wspaniałej poezji w znakomitej, recytatorskiej interpretacji Zbigniewa Zapasiewicza. Spór a Herberta będzie – jak z tego widać – jeszcze długo dzielić zainteresowanych jego osobą i twórczością.

Jedni prawdziwego Herberta będą szukać w strofach jego wierszy i esejów o kulturze śródziemnomorskiej, drudzy – w napastliwych wypowiedziach publicystycznych w stylu tych, jakie wyciągnął od poety autor *Hańby domowej*.